WARSZAWA KRAKÓW LWÓW POZNAŃ

BLUSZCZ

№ 24—25. ROK WYDAWNICTWA LIII. Dnia 15 i 22 Czerwca 1918 r.

PRENUMERATA W WARSZAWIE:
Miesięcznie: Mk. 2.15, kwartalnie: Mk. 6.25, półrocznie: Mk. 12.50, rocznie: Mk. 25.

CENA OGŁOSZEŃ: za wiersz 1-o szpaltowy nonparelowy lub jego miejsce „za tekstem": Mk. 1.50; ogłoszenia zwycz. 65 f. „Nadesłane" Mk. 2.50, margines Mk. 18. Kolumna Mk. 360. Załączniki Mk. 40 za tysiąc.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO . . . Fen. 65.

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE POŚWIĘCONE SPRAWOM KOBIECYM

Pod redakcyą ZOFII SEIDLEROWEJ

Ekspedycya główna: Nowy-Świat 41.

Drobnych rękopisów nie zwraca się. — Tel. Red. 105-22. Tel. Adm. 220-86.

Prenumerata na prowincyi, w Austryi, Galicyi, w Rzeszy Niemieckiej i W. Ks. Poznańskiem:
Rocznie: Mk. 30, półrocznie: Mk. 15, kwartalnie Mk. 7.50.

W Lublinie „Bluszcz" w biurze dzienników „REKORD" — Kapucyńska 2.

W Krakowie u W-go D. E. Friedleina—Rynek 17.

We Lwowie — w biurze dzienników W-go Henryka Buchsteba — ul. Karola Ludwika 21.

OD REDAKCYI.

Dzięki pomocy technicznej, ofiarowanej nam przez właścicieli drukarni, wobec przedłużającego się bezrobocia pracowników drukarskich, wydajemy znów połączone numery 24-ty i 25-ty. Starać się będziemy wyrównać w jaknajkrótszym czasie powstałe wskutek bezrobocia zaległości.

CEZARY ŁAGIEWSKI.

Udział kobiety w ruchu współdzielczym.

4)

(DOKOŃCZENIE).

Przyszła wojna, a z nią paskarstwo, które w dużej mierze uprawia to właśnie sklepikarstwo.

Kto kraj naprawdę miłuje, kto dobra jego pragnie, kto nie goni za tanią popularnością, ten dziś hasła naiwnych publicystów odrzucić powinien.

Wycieńczone ze wszelkich zasobów społeczeństwo musi wszystkich zachęcać do produkcyjnej pracy, musi bezwzględną wypowiedzieć walkę paskarstwu.

Innemi słowy: zadaniem naszem na najbliższą przyszłość będzie podniesienie wytwórczości krajowej i tępienie spekulacji.

Nie możemy opuszczać żadnej okazji do wzmożenia sumy naszych bogactw.

Wytwórczość podnieść koniecznie trzeba, a współdzielczość jest jednym z bardzo wypróbowanych tu środków.

Zakładanie nowych stowarzyszeń surowcowych dla rzemieślników, dostarczenie im taniego i dogodnego kredytu, ułatwienie wszelkich funkcji gospodarczych — oto zadanie, które dziś zarysowuje się przed współdzielczością polską wyraźniej niż kiedykolwiek.

Jeżeli pragniemy ażeby rzemieślnik nasz nie dostał się w ręce spekulantów, ażeby potem nie potrzebował się „odbijać" na klijentach, musimy za pomocą rzemieślniczych stowarzyszeń współdzielczych wesprzeć go materjalnie, możemy też wskazać mu jak doniosłe znaczenie dla współczesnych społeczeństw ma zasada solidaryzmu. Trudne warunki życia wiele kobiet przy warsztatach rzemieślniczych postawiły... Uczestnictwo ich w stowarzyszeniach współdzielczych, dla rzemieślników przeznaczonych, wniesie do stowarzyszeń wiele dobrego, wiele zdrowych ziarn, które właściwe wydadzą owoce...

We współdzielczości rolniczej, jak wiemy, kobieta ma z góry wyznaczone stanowisko.

Na naszym gruncie stanowisko to poważniej z tego powodu, że rolnictwo jest jedną z podstaw naszego życia gospodarczego.

Największym jednak bodźcem do tworzenia stowarzyszeń współdzielczych i do szerzenia ich wpływów jest walka ze spekulacją.

Jeżeli mamy wiele do zarzucenia żydom, jeżeli uważamy ich za pasorzytów — słuszność po naszej jest stronie.

Ale słuszność tej genezy nie leży w nienawiści plemiennej, a w tem, że żyd egzystencję swoją na wyzysku, na spekulacji opiera.

Pozbywajmy się żyda, spekulanta, ale nie wytwarzajmy na jego miejsce nowej rodzimej tym razem, pijawki. Swojski spekulant, swojski sklepikarz nie jest lepszy od obcego. Toż to i on nie jest żadnym zawodowcem, toż i on nie pracuje produkcyjnie, a tylko myśli, w jaki sposób kupić coś jaknajtaniej, a jaknajdrożej sprzedać.

Powiedzą mi może urzędowi obrońcy sklepikarstwa chrześcijańskiego, że agitacją swoją pragnę pozbawić pewne sfery „zarobku". Odpowiem, że gorzkie słowa, które pod adresem tych „sfer" kieruję, mogą interesowanym wyjść tylko na korzyść.

Historja uczy nas, że nie ten jest przyjacielem tłumów kto schlebia tłumowi, a ten, kto dobra jego naprawdę pragnie.

I tu prawda ta znajduje potwierdzienie. Uniemożliwienie działalności sklepikarzom dla nich samych wyjdzie na korzyść, zwróci ich do produkcyjnej roboty, niejednemu pożytecznemu zawodowi przysporzy pracownika.

W imię tych zasad i poglądów twórzmy stowarzyszenia współdzielcze. Nie obawiajmy się tego, że ktoś do pracy nie zdatny nie da sobie rady. Ofiary być muszą, a doprawdy drobne to będą ofiary — korzyści wielkie. Na próżniaków nie ma miejsca w społeczeństwie polskiem. Bezradnych wśród swoich będzie napewno niewielu, a ilu obcych wyemigrować od nas będzie musiało?...

I tutaj rola kobiety jest wielka.

Współdzielczości federalistycznej nie należy ograniczać tylko do stowarzyszeń handlujących artykułami spożywczymi. Musimy uwzględnić szeroko i kwestję odzieży, musimy, w wielu wypadkach, dla odzieży tworzyć współdzielcze wytwórnie spożywców.

Niechaj kobiety nasze pamiętają o tem wszystkiem i swoje do tej pracy dołożą cegiełki.

Niechaj na wzór angielski zakładają ligi kooperatystek, niechaj dewizą ich będą słowa Kochanowskiego:

„czyń każdy w swojem kółku co każe Duch Boży, a całość sama się złoży"...

Walne zebranie Związku Polskich Stowarzyszeń Kobiecych.

Dnia 9 Czerwca o g. $4^1/_2$ po południu w pięknej sali Katolickiego Związku Niewiast Polskich (Krakowskie Przedmieście № 36) pod wprawnem i taktownem przewodnictwem Dr. Męczkowskiej, odbyło się walne zebranie Związku Polskich Stowarzyszeń Kobiecych.

Zebranie było, na ogół biorąc nieco monotonne, choć mogło takiem nie być, gdyby delegatki od Stowarzyszeń, miały lepiej opracowane swoje sprawozdania.

Właściwe kobiecej umysłowości, drobiazgowość i lubowanie się w szczegółach, nieudolne ugrupowanie materyału, wysuwanie na pierwszy plan nieraz szczegółów podrzędnych z życia i działalności stowarzyszeń, a pomijanie lub spychanie na szary koniec rzeczy zasadniczych i istotnie ważnych, oto wady tych sprawozdań z małemi wyjątkami. Jeszcze jedno, nad wyraz nużące a, dla osób krytycznie myśleć umiejących, niemiłe wrażenie sprawiające są krótkie sprawozdania przeładowane nazwiskami.

Czyż dla opinji publicznej na poważnem zebraniu sprawozdawczem, nie dość jest dowiedzieć się, że taka a taka suma pracy została wykonana, przez stowarzyszenie X lub Z. Czyż koniecznem jest kładzenie kropek nad i, że praca taka ta a taka, została wykonana przez panią Y lub X.

A przecież Stowarzyszenia budują ludzie, im mniej mają oni wad, a więcej zalet, tem praca ich będzie owocniejsza nietylko dla Koła członkiń danego Zrzeszenia ale i „pro publico bono".

Jestem w trudnem położeniu. Mam pisać o zebraniu sprawozdawczo - informacyjnem Związku Stowarzyszeń Kobiecych, ale ponieważ na kilkanaście stowarzyszeń, zaledwie parę dało istotnie poważny, realny obraz tych prac, jakie wewnątrz lub nazewnątrz podejmowały, więc mam nadzieję, niektóre stowarzyszenia, nie wezmą mi za złe, jeśli ich działalność pominę milczeniem.

My dziennikarze, jesteśmy ludźmi nawykłymi do posługiwania się materyałem opracowanym należycie, rozmieszczonym właściwie i o takim materyale możemy jeno pisać sprawozdawcze, mniej lub więcej krytycznie ujęte, mniej lub więcej subjektywnie lub objektywnie opracowane artykuły.

Po tem wyjaśnieniu przystępuję do nakreślenia przebiegu tego zebrania, które zewnętrznie o ile chodzi o stronę reprezentacyjną miało charakter poważny, aż do końca, który...

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Powołana przez aklamacyę na przewodniczącą D-r Męczkowska, dobrawszy sobie pięć asesorek i sekretarkę zaczyna obrady. Porządek dzienny zostaje zatwierdzony. Pierwsze z natury rzeczy sprawozdanie ma na celu poinformowanie, o dziejach Związku stowarzyszeń kobiecych. Dzieje te miały różne etapy, opowiedzieć je treściwie, barwnie a zarazem wysunąć na czoło myśli przewodnie Związku stowarzyszeń nie było rzeczą łatwą przyznaję, niestety! to cośmy usłyszeli, tylko bardzo pobłażliwy sąd przyjacielski może zadowolnić. W tem sprawozdaniu jak w staroszlacheckiem, „Silva rerum", było przedziwne różnych materyi pomieszanie.

To też nie umiem o niem nic więcej powiedzieć nad to, że do Związku Stowarzyszeń kobiecych należy obecnie 15 Stowarzyszeń. Składka roczna wnoszona przez stowarzyszenie do kasy Związku wynosi 25 Mrk., każde Stowarzyszenie ma po 2 delegatki w reprezentacyi Związku. Związek przedstawia grupę liczebnie poważną, bo wynoszącą 20 tys. członkiń. A budżet śmiesznie mały, zaledwie na setki marek obliczony.

Treściwemi sprawozdaniami wyróżniły się na tem zebraniu Koło mistrzyń i podmistrzyń. Pracują one tak solidnie, jakby były związkiem zawodowym, pracują realnie i osiągają też realne rezultaty, na Radzie miejskiej i cechach w postaci równouprawnienia w tych środowiskach.

Dużą żywotność okazuje Związek Niewiast Katolickich, bo choć liczebnie niepokaźny, (1600 członkiń) zdobywa się na wytwarzanie tak żywotnych sekcyi jak np. ogrody robotnicze i opieka nad młodzieżą rzemieślniczą, które to sekcye z czasem przekształcają się w samodzielne instytucye.

a) Ogrodów robotniczych,

b) Patronat nad polską młodzieżą rzemieślniczą.

Związek prowadzi Seminaryum dla nauczycielek ludowych, Kursy Katechetyczne i szkołę początkową 3 oddziałową.

Śmiem tylko zwrócić uwagę referentce tego Stowarzyszenia, że popełnia dużą nieścisłość, wyrażając nadzieję, że odpowiednie pokierowanie wychowaniem młodzieży rzemieślniczej rozwiąże kwestyę socjalną.

Niestety! tak nie będzie, bo być nie może. Kwestya socjalna tak dziś paląca, może być rozwiązana w dwojaki sposób: albo gwałtownym przewrotem na drodze rewolucyi, albo w drodze powolniejszego procesu ewolucyjnego, przy pomocy kooperatyw ale rzemiosła, a tem bardziej rzemieślnicza młodzież tak lub owak wychowana, nic w tej dziedzinie zrobić nie będą mogły.

Z prawdziwą przyjemnością słuchało się sprawozdania kobiet pracujących w handlu, przemyśle i w biurowości, tak wszechstronnie dba ono o potrzeby członkiń swoich, że aż mnie zazdrość brała, iż nie mam żadnych danych po temu, by do owego stowarzyszenia należeć.

Członkinie tego stowarzyszenia, które ma solidnie prowadzone biuro pośrednictwa pracy, korzystają z kooperatywy spożywczej, pracowni taniego ubrania, zniżkowych opłat w szkołach handlowych, kursów języków obcych i ekonomji politycznej.

Imponującą żywotność wykazuje Związek sług.

Mając zaledwie 2 tysiące członkiń, ma własny dom, 2 jadłodajnie, 2 sklepy współdzielcze, 2 zawodowe szkoły kucharek.

Biuro pośrednictwa pracy, kursy niedzielne, kursy wieczorne, własne pismo.

A jakie jest uświadomienie tych pracownic domowych o tem najlepiej mówią uchwały, np: w czwartym roku wojny zapadłe na walnem zebraniu tych stowarzyszonych.

Uchwała jednomyślna a) podnieść składkę członkowską, b) aby ułatwić pracę Zarządowi zrzekły się członkinie procentu od kapitału, jaki mają na domu i w różnych przedsiębiorstwach swoich.

Klub wioślarek wykazał swojem sprawozdaniem, że jest stowarzyszeniem poważnie myślącem o fizycznym rozwoju członkiń i o podtrzymywaniu życia stowarzyszeniowego, o klubowym charakterze.

Żywotnie, dzielnie pracują rękodzielniczki z „Dźwigni", które otwierają coraz to nowe kramy, pracownie taniej bielizny, prowadzą kursy zawodowe i ogólno kształcące.

Organizują się na nowo po długiej wojennej przerwie Ziemianki, tak intensywnie pracujące przed wojną w zakresie szkolnictwa gospodarczego włościańskiego i krzewienia wśród kobiet włościanek zamiłowania w zakresie warzywnictwa. Ziemianki przed wojną miały 6 szkół gospodarczych, jedną szkołę dla instruktorek a torebek z doborami nasion warzywnych wydały na wieś włościankom *40 tysięcy!* Prowadziły też kursy hodowli drobiu i kursy gotowania. Wiele z tych prac sparaliżowała wojna, ale obecnie stowarzyszenie to budzi się do nowego życia, powstają w dużej ilości kółka czynne (włościańskie).

Po wyczerpaniu działu sprawozdawczo-informacyjnego przeszło zebranie do wysłuchania referatu p. Szalayowej o „Służbie obowiązkowej państwowej kobiet". Referat doskonale opracowany, interesujący zarówno ze względu na treść świeżą jak i na formę dobrą, wywołał na sali dużo nieporozumień i ożywioną dyskusję, w której mimo powagi miejsca i osób, nie brakło krotochwilnych momentów. Ale za ten mimowolny humor, jaki wprowadziła na salę zebrania dyskusya, oparta na wiecznie ludzkiej komedyi pomyłek, zebranie było szczerze wdzięczne. Po nadmiernie suchym a z natury rzeczy długim dziale sprawozdawczym, ta szczypta soli atyckiej,

domieszana do poważnych obrad z racyi referatu p. Szalayowej, była doprawdy na tem zebraniu zupełnie na miejscu.

Przedstawiła w szerokich konturowych zarysach plan obowiązkowej służby państwowej dla kobiet, jako równoważnika służby wojskowej męskiej.

Przyjęto jej plan długą salwą oklasków, zdawało się, że wniosek o realizowaniu tego pomysłu, by go potem w formie skonkretyzowanej rzucić jako ofertę tworzącemu się państwu polskiemu, nie dozna opozycyi. Stało się inaczej. Dyskusya za i przeciw, oparta na wzajemnych nieporozumieniach, wynikłych na tem tle głównie, że każda grupa mówczyń myślała innemi kategoryami, doprowadziła jednak do odesłania planu referentki do komisyi delegatek, co może go skazać na „schowanie pod sukno“. Ale pomysł obowiązkowej służby państwowej (dwuletniej) dla kobiet, jest pomysłem tak żywotnym i praktycznym, że przypuszczać można, iż prędzej czy później wejdzie w życie i u nas, tak jak wszedł częściowo już w życie państwowe Niemiec, Anglji, Francyi i Szwecyi.

Nie wyzyskano jednak tego zebrania dla celów propagandy. A to poważny błąd. Należało w przedsionku wiodącym do sali obrad, przy stolikach posadzić członkinie nad stosami drukowanych sprawozdań, ankiet, broszur, formularzy i t. p. materyałów, opowiadających o życiu i pracach stowarzyszeń. Należało też mieć pod ręką kwitaryusze członkowskie, bo kto wie? czy po wysłuchaniu sprawozdań, ta lub .owa z obecnych na sali kobiet, nie byłaby się zapisała na listę członkiń. Trzeba się liczyć z tą właściwością psychiki polskiej, że u nas czego się nie zrobi na gorąco, tego się wogóle nie — robi.

I jeszcze jedno. Nie słyszeliśmy na sali nic o tem, co zamierza w przyszłości przedsięwziąć Związek Stowarzyszeń, aby z tworu dość fantastycznego, bo luźnego, zmienić się w silną, spoistą organizacyę, idącą ku lepszej przyszłości dla doli kobiety wogóle, pod hasłem: Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

Stefanja Bojarska.

Zjazd instytucyi ratowniczych i dobroczynnych.

Posiedzenia zjazdu instytucji ratowniczych wykazały wielką żywotność naszego społeczeństwa, które obracając małemi zasobami materjalnemi, umiało stworzyć liczne ogniska chroniące starców, i kaleki, biedne matki i dzieci od zagłady i nędzy.

Trzy dni owocnej pracy dały obraz tego w jaki sposób działały instytucje ratownicze i kogo wspierały.

Otworzył zjazd prezes R. G. O. ks. Eustachy Sapieha, proponując na przewodniczącego ks. Seweryna Czetwertyńskiego. Po przemówieniach przedstawicieli Państwa i Samorządu pierwszy referat wygłosił przewodniczący komisji „Ratujcie dzieci“ p. Wacław Janasz, opisując akcję ratowniczą w Polsce od 16 w. po dzień dzisiejszy. Okres zapomóg wojennych rozpoczyna się z końcem sierpnia 1914 r. gdy powstał Centralny Komitet Obywatelski. Warunki pracy były o wiele łatwiejsze, wtedy utrzymanie dziecka kosztowało niecałe 10 kop., obecnie wynosi dwie marki dziennie.

Organizacja ratownicza w okupacji niemieckiej przedstawia się następująco: 626 rad opiekuńczych zogniskowanych w R. G. O. utrzymuje 1309 ochron (67.000 dzieci) 13 sal zajeć, 33 schroniska, 2 bursy, 27 żłobków. Finansowo akcja przedstawia się następująco: Poznańskie na akcję ratowniczą przysłało 5,5 miljonów; z Vevey otrzymano 3 miljony; 3,8 miljona dała kwesta po kościołach całego świata, 8 kroć przysłano z Anglii; 12 miljonów dał amerykański Krzyż czerwony. Dochody kół miejscowych wykazały 3,5 miljonów kwesta „Ratujcie dzieci“ przyniosła 2,5 miljonów.

Głównem źródłem dochodów R. G. O jest obecnie loterja.

Fundusze się wyczerpują: chciano wysłać delegata do Szwajcarji, ale zaszły pewne trudności.

Mówca uznaje, że akcja ratownicza społeczeństwa jest nie wystarczająca, potrzeby są naglące, w jednej Belgii wydano na akcję ratowniczą do 1916 r. 625 miljony franków.

Następnie p. Kazimierz Koralewski przedstawił różnicę pomiędzy opieką dobroczynną państwową, a prywatną. Ratownictwo prywatne ma swobodę w wyborze wspieranych, państwo musi wspierać wszystkich bez różnicy wyznań. Referent mówił o kwestji wspomagania niestałych mieszkańców. Trzeba przyjąć za zasadę, gdzie praca tam i przynależność do gminy. Na zachodzie okres czekania na obywatelstwo zmniejsza się do roku, u nas referent proponuje zachowanie okresu pięcioletniego.

Czy państwo ma poprzestać na roli opiekuna instytucji ratowniczych, czy samo działać w tym kierunku? p. Koralewski uważa, że najlepiej, by poprzestało w roli opiekuna w myśl tradycji ratowniczych w Polsce.

Dr. Łyskawiński mówi o konieczności kontroli instytucji ratowniczych, co na ich sprawność wpływa dodatnio. Można się o tem przekonać z rezultatów osiągniętych z wizytacji jak np. ujednostajnienie typu hygieniczno-ratowniczego.

Po przerwie obiadowej rozpoczęły się obrady przedstawicieli towarzystw dobroczynnych. Obrady zagaił p. A. Szczuka wice prezes W. T. D., proponując na przewodniczącego p. Czajkowskiego.

Pierwszym tematem była sprawa finansowa towarzystw; poczynanie starań o zwrot funduszów wywiezionych do Rosyi.

W związku z tem została poruszona konieczność rejestracji majątku towarzystw dobroczynnych. Przyjęto projekt zwrócenia się za pośrednictwem R. G. O. do ministerjum opieki społecznej o uzyskanie subsydjów. Dnia następnego delegat Gł. Kom. Ratunkowego z Lublina p. Stefan Smoleński mówił o akcji ratowniczej w okupacji austro-węgierskiej. Akcja ta nie ustępuje prawie akcji R. G. O. Powyrastały tam placówki życia społecznego, rozwijające się samodzielnie: do nich należy Rada Gospodarcza, rozporządzająca centralą zbożową, nasienną i paszy; centrala handlowa, wydział budowlany, komisja komisaryjna i. t. p. Główny komitet ratunkowy rejestruje straty wojenne, utrzymuje szpitale, schroniska, udziela pożyczek inteligencji, dopomaga przy wyjednywaniu wypłat rekwizycyjnych. Praca tam wre. Gł. Kom. Rat. rozporządza następującemi funduszami: 200.000 koron od komitetu biskupiego, z Vevey blizko dwa miljony, od władz okupacyjnych miljon, z kwesty „Ratujcie dzieci“ pół miljona. Komitety ziem zebrały 14,5 miljona. Pracują z energją. Referat p. Smoleńskiego został nagrodzony rzęsistemi oklaskami. Dr. Kopeć nawoływał do zakładania stacji opieki nad dziećmi, przypominając o śmiertelności niemowląt w naszym kraju: w Warszawie umiera 40%, na prowincji 60%, umieszczonych na garnuszku 80%. Zamało w kraju jest akuszerek, zakładów położniczych. Wskazywał na konieczność współdziałania proboszczów, lekarzów, ludzi wrażliwych. Referat nagrodzono oklaskami.

P. Neronowicz Szpilewska przedstawiła zjazdowi co kobiety zdziałały w pracy społecznej dla kraju, a mimo to nie mają nawet głosu doradczego w R. G. O. Wniosek p. Neronowiczowej założenia dla kobiet szkoły pracy ratowniczo dobroczynnej w myśl, że nie tylko trzeba czuć, ale i dobrze rozumieć i pracować zebrani jednogłośnie przyjęli,

Dr. Karp. Rottermund mówił o opiece społecznej na terenie szkoły, pomoc ta jest niedostateczna. 60000 dzieci potrzebuje pomocy, dla tego potrzeba 37. miljonów marek. Przemówienie zakończone wnioskiem o rozwinięciu tej akcji. Ks. Sapieha wyjaśnił, jak się wyraża pomoc wsi dla miast; jest ona minimalna. W Warszawie podatek na biednych 33 m. na osobę w Łodzi 35m. rocznie, w okręgach wiejskich zaledwie 1,5. Pomoc wsi dla miast przedstawia się w kwocie 7,5 miljonów marek. Główną pozycją tej sumy jest utrzymanie 15.000 dzieci. Mówca przedstawia potrzebę zwrócenia się do rządu polskiego z propozycją wprowadzenia podatku dobroczynnego ogólno państwowego na wzór Anglji.

P. Rozenfeld przedstawił w dłuższem przemówieniu potrzebę założenia zakładu poprawczego dla dzieci z inteligencji. Ks. Sapieha poradził zwrócić się z tem do Rządu Polskiego, który na ratownictwo dzieci przeznaczył 700.000 marek miesięcznie.

W dalszym ciągu miały miejsce dysputy nad referatami i głosowanie nad wnioskami. Wyrażono opinję, że Rząd Polski winien zorganizować akcję dobroczynną i opieki społecznej.

Dr. Szenajch na poparcie tej opinji mówi, że nie można czekać na akcję gmin niezorganizowanych finansowo, gdy chodzi o zakładanie przytułków dla dzieci.

P. Szaniawski twierdzi, że gdyby gminy miały lepszą organizację, działalność

ch nie byłaby tak nikła. Mniejszą śmiertelność dzieci żydowskich tłomaczy lepszem odżywianiem żydów, którzy trzymają handel w swych rękach.

Dr. Kramsztyk zachęcał do zapisywania się do Tow. Pedjatrycznego, połowa Polaków musi współdziałać z tem towarzystwem.

Dr. Wanda Szczawińska zwraca uwagę, że pierwszą próbą utworzenia w kraju stacji ratowniczej dla dzieci jest instytucja Kropli Mleka, przedstawia zjazdowi by przyczynił się do rozwoju tej pierwszej stacji przez wystaranie się o większą zapomogę od miasta.

Następnie omawiano podział 700000 marek uzyskanych od Rządu dla instytucji ratowniczych dla dzieci. Ks. Sapieha mówił o trudnościach, jakie napotkałoby bezpośrednie zwracanie się instytucji w sprawie swych potrzeb do Rządu.

Sprawę założenia Centrali rejestracyjnej i statystycznej instytucji dobroczynnych i potrzebę założenia podobnej centrali przy R. G. O. referował p. Koralewski.

Ks. Sapieha zaznaczył, że R. G. O. jest instytucją ogniskującą działalność ratowniczą całego kraju, musi zatem prowadzić rejestrację wszelkich poczynań filantropijnych. Związek miast powinien z nią współdziałać; p. prezes R. G. O. nie wyklucza w przyszłości kontroli państwowej. Projekt utworzenia centrali przy R. G .O jednogłośnie uchwalono.

P. Trzciński zaproponował opodatkować się na rzecz dobroczynności publicznej.

Po mowie pożegnalnej Ks. Czetwertyńskiego Zjazd zamknięto.

Z liczby 500 zapisanych, 150 delegatów było z dalszych stron kraju, szczególnie owacyjnie był witany delegat z Ukrainy p. Rutkowski. Praca Zjazdu nie pozostanie bez pożytku dla sprawy dobroczynności, ma ona szczególne znaczenie w dobie obecnej, gdzie ratować trzeba całe warstwy społeczne, stojące nad przepaścią, co grozi wielkim kataklizmem krajowi.

Dr. G. Majewska.

KRONIKA MUZYCZNA.

Opera: jubileusz A. Ostrowskiego. „Mazepa“ Minchejmera. „Pierwsze łzy“ p. Adamusa.

Pierwszy basista naszej opery, p. Adam Ostrowski, obchodził d: 24 Maja 20-letni jubileusz swej karjery scenicznej, którą snać młodo rozpoczął, gdyż na „jubilata“ wcale nie wygląda. Prawda i to, że ma on już we krwi tradycję sceniczną — wyjątkowo świetną: przez matkę, wyborną artystkę dramatyczną, jest wnukiem najgenialniejszego aktora polskiego, Aloizego Żółkowskiego (który za młodych lat śpiewał w operze), prawnukiem zaś słynnego z dowcipu wydawcy „Momusa“, Aloizego Gonzagi Żółkowskiego, który, jako młodzieniec, był żołnierzem w powstaniu Kościuszki, a potem został pisarzem humorystycznym, pierwszym komikiem sceny polskiej i należał do najpopularniejszych w Warszawie osobistości swego czasu.

Pan Adam sprzeniewierzył się wprawdzie scenie dramatycznej, ale nie można mu tego mieć za złe, skoro natura obdarzyła go potężnym i pięknym głosem basowym i skoro dzięki temu stał się ozdobą naszej opery. Z figury a potrochu i z twarzy, przypomina swego niezrównanego dziada, ale — rzecz dziwna — talentu komiczno-charakterystycznego po Żółkowskich nie odziedziczył; do opery komicznej brak mu lekkości zarówno w głosie, jak w grze; to też partye *basso buffo* do repertuaru jego nie należą; jest za to typowym *basso profundo* o postaci poważnej i okazałej.

Dyrekcja opery uczciła p. Ostrowskiego przedstawieniem benefisowem, dając jubilatowi zarazem okazję ukazania się w nowej roli, jakby dla niego stworzonej. Wznowiono niegraną od kilkunastu lat operę Minchejmera „Mazepa“ w wybornej obsadzie: Wojewodą był p. Ostrowski, Amelją — p. Mokrzycka, Zbigniewem — p. Brzeziński a Mazepą — p. Dobosz.

Nie wiem dokładnie, kiedy Minchejmer ukończył kompozycję „Mazepy“, z pewnością jednak nie mniej niż 10 lat opera ta czekała, zanim ją po raz pierwszy wystawiono na scenie Teatru Wielkiego dnia 1 Maja 1900 roku; był to jednocześnie jubileusz 50-letniej pracy Minchejmera w tymże teatrze, gdyż w r. 1850, został on jako 19-letni skrzypek, członkiem orkiestry naszej opery.

Przypominam sobie doskonale premjerę „Mazepy“ pod dyrekcja p. Młynarskiego i z udziałem tak znakomitych śpiewaków, jak p. Kruszelnicka i p. Didur. Opera doznała jaknajlepszego przyjęcia, a sędziwy kompozytor, cieszący się powszechną sympatją i poważaniem, był przedmiotem gorących owacji. Zasłużył też rzetelnie na ten wyraz uznania zacny Adam Minchejmer, który cały swój żywot (zmarł w roku 1904) poświęcił pożytecznej pracy na niwie muzyki polskiej, a tak niewiele ztąd osiągnął osobistych korzyści i tryumfów. Był długoletnim kapelmistrzem w Teatrze Wielkim, profesorem w Instytucie Muzycznym, jednym z założycieli Towarzystwa Muzycznego i autorem licznych kompozycji religijnych i świeckich. W dziełach Minchejmera nie przebija się indywidualność twórcza w tej mierze, jak np. u Moniuszki lub Żeleńskiego, ani ów wykwintny wdzięk, jaki spotykamy w wielu utworach Zarzyckiego; zasługiwały one jednak na wyróżnienie w owym okresie, w którym tak niewielu było kompzytorów polskich gruntownie wykształconych i mających poważne aspiracje, albowiem Minchejmer posiadał właśnie i solidną wiedzę muzyczną i głęboką cześć dla sztuki. Z czterech oper Minchejmera, dwie pierwsze: „Otton łucznik“ (1864) i „Stradiota“ (1876) nie zdołały utrzymać się na scenie i za moich czasów nie były grywane, ostatnia zaś — „Mściciel“ — nie została dotychczas wystawiona, aczkolwiek muzycznie (o ile z wyciągu fortepianowego sądzić można) więcej jest może warta od „Mazepy“.

Jakąż wartość przedstawia „Mazepa“?

Ze stanowiska czysto artystycznego nie trudno jest wykazać słabe strony tej opery. Niema w niej nic uderzającego śmiałością lub oryginalnością koncepcyi, niema „nowych“ pomysłów muzycznych. Skoro się weźmie pod uwagę, że została skomponowana w tym czasie, gdy Wagner już nie żył, gdy w szranki zaczęli wstępować tacy „moderniści“, jak Debussy, Ryszard Strauss, i Puccini, gdy nawet stary Verdi przeszedł już był gwałtowną ewolucję i zaimponował światu „Aidą“ i „Otellem“, — trzeba dojść do wniosku, że Minchejmer spóźnił się niemało, tworząc w „stylu“... Donizettiego, którego w dodatku nigdy za wzór jakiegobądź stylu nie można było poczytywać. Muzyka w „Mazepie“ nie pociąga też tą odrębnością narodową, która w tak genialny sposób uwydatnia się w operach Moniuszki i nawet na cudzoziemców urok wywiera. Razi wreszcie w „Mazepie“ niejednolitość charakteru muzyki: jest to przecież *opera seria* o zakończeniu wysoce tragicznem, — tymczasem pewne ustępy muzyczne noszą wyraźny charakter „lekkiej opery komicznej“ (np. arietta kasztelanowej w 1-ym akcie); nie chodzi tu o „wesoły nastrój“, (bo ten i w najtragiczniejszej operze może mieć miejsce), lecz o „rodzaj“ muzyki zupełnie odmienny; w „Halce“ są przecież tańce, pełne wesołości, a w „Hrabinie“ jest smętna „dumka Broni“, ale ani jeden ustęp muzyczny z „Hrabiny“ nie mógłby być przeniesiony do „Halki“ a nawet do „Strasznego dworu“, gdyż stanowiłby tam dysonans pod względem stylu.

„Mazepa“ tedy nie może być uważana za arcydzieło ani pretendować do takiego znaczenia, jakie posiada dla nas „Straszny dwór“ lub „Halka“. Ale wieleż jest oper włoskich, francuskich, niemieckich, lub rosyjskich, które również nie należą do arcydzieł i wszechświatowej karjery nie robią, które jednak grywane są w swej ojczyźnie z powodzeniem i zdobywają nawet pewną popularność. Okazuje się, że narody, znacznie od nas bogatsze w dorobek muzyczny, otaczają daleko większemi względami produkcję rodzimą. I mają słuszność, bo w ten sposób wytwarzają warunki, sprzyjające pomyślnemu rozwojowi tej produkcji. Oczywiście nie idzie tu o popieranie utworów bezwartościowych lub dyletanckich; ale „Mazepa“ nie jest dziełem dyletanckiem i obok pewnych usterek, dostrzegalnych jedynie dla znawców, posiada wiele zalet, które mogą pociągać szerszą publiczność. Przedewszystkiem zaś jest to opera polska, a nasz repertuar operowy tak jest ubogi w dzieła polskie, że nietylko nie powinno się usuwać z niego „Mazepy“, ale możnaby się zastanowić nad wystawieniem „Myśliciela“. W każdym razie należałoby pomyśleć o wznowieniu „Goplany“ Żeleńskiego i „Manru“ Paderewskiego oraz o wystawieniu „Zemsty za mur graniczny„ Noskowskiego, dotychczas nie granej.

Że dyrekcji naszej opery nie zbywa na dobrej woli popierania twórczości polskiej, tego dowodem może być wystawienie d. 7 Czerwca jednoaktowej opery p. Adamusa p. t. „Pierwsze łzy„. Chwalebny w zasadzie czyn dyrekcji okazał się w danym wypadku trochę nierozważnym. P. Adamus — młody wiolonczelista Teatru Wielkiego — stawia dopiero pierwsze kroki na niwie kompozytorskiej, nic więc dziwnego, że jego pierwszy utwór sceniczny zdradza pod wielu względami brak wyrobienia i doświadczenia; wystarczało jednak przeczytać choćby tylko tekst tej opery, aby przyjść do wniosku, że utwór ten nie może zrobić dobrego wrażenia, że poprostu nie kwalifikuje się na scenę. Lepiej byłoby nie wystawiać tej opery, niż zdejmować ją z afisza po jednem przedstawieniu, którego przygotowanie niemało przecież kosztowało czasu i pracy. — P. Adamus ułożył sobie libretto z jakiejś nowelki, osnutej na tle rzeczywistego zdarzenia. W roku 1905 jakiś rewolucjonista w Orszy chciał wykonać zamach na oficera żandarmów i, zamiast niego zastrzelił przypadkiem jakąś panienkę; nowela przedstawia jedynie epilog tego faktu, gdy zabójca, dręczony wyrzutami sumienia, przybywa do prosektorjum i, na widok niewinnej ofiary, wylewa „pierwsze łzy“ nad jej zwłokami. Zręczny librecista możeby zdołał wysnuć z te-

go jakiś wątek dramatyczny, jakąś choćby najbardziej zwięzłą akcyę. P. Adamus nie zadał sobie tego trudu i ułożył tekst w najwyższym stopniu naiwny. Przez godzinę blisko nic się na scenie nie dzieje: po trupiarni kręci się posługaczka i grabarz, którzy nie mają nic do powiedzenia i w akcji udziału nie biorą; potem dozorca wprowadza „Nieznajomego“ i pozostawia go przy zwłokach zabitej panny; młodzieniec śpiewa: „Zabiłem cię panienko i nawet cię nie znałem“ nie dowiadujemy się nic więcej ani o „Nieznajomym“ ani o „Panience“; zjawia się potem „Duch Panienki“ i przebacza zabójcy; wreszcie po długiem oczekiwaniu, pełnem zakłopotania dla tenorzysty, autora i publiczności zjawiają się żandarmi, jak prawdziwi wybawcy, i uprowadzają młodzieńca, który wypowiada głębokie zdanie: „Za mną i przedemną śmierć“. Tak jest w partyturze. Reżyserja poczyniła drobne zmiany. Zamiast prosektorjum z trupami na stołach, scena przedstawia kaplicę przedpogrzebową z trumnami, co czyni widok „łagodniejszym“ dla publiczności; natomiast „zaostrzono“ zakończenie gwoli większemu efektowi: zamiast „łagodnego“ aresztowania, żandarmi wołają *ostro* „ręce do góry“ i jednocześnie, niewiadomo dlaczego, strzelają ostremi nabojami, dzięki czemu na scenie jeszcze jeden trup przybywa. Podobno zmiany tej dokonano na tej zasadzie, że w „Afrykance“ Meyerbeera publiczność najgłośniej bije oklaski po trzecim akcie, kończącym się strzelaniną na okręcie. Czyżby istotnie wśród publiczności naszej zaczynało już zdobywać przewagę zamiłowanie do efektów „trzaskających“ (Knalleffect), świadczące o pewnem barbarzyństwie smaku?

Muzyka p. Adamusa nie daje wystarczającej kompensaty za nieudolne libretto. Są w niej ustępy pozwalające wnioskować o talencie kompozytora i znajomości nowożytnej instrumentacyi, ale niema jeszcze wyraźnej świadomości celu i zdecydowanego smaku; melodje nie mają wyrazistości, a i harmonizacya, chociaż pozornie urozmaicona dysonansami na modłę „modernistów“, trzyma się najchętniej ckliwego minoru, który stanowi największą plagę w muzyce polskiej gorszego gatunku.

Uczuciowość czyli „sentyment“ a nawet „patos“ w odpowiedniem zastosowaniu, stanowić mogą pożądany pierwiastek w dziełach sztuki, ale wystrzegać się należy „sentymentalizmu“ i afektowanej „patetyczności“, bo to są rzeczy tanie i świadczą o niedosyć rozwiniętym smaku.

W sztuce zaś obok t. zw. „natchnienia“ czyli geniuszu twórczego, smak pierwszorzędną gra rolę, stanowi poprostu niezbędny warunek każdego „dzieła sztuki„. To też dla artysty jest rzeczą konieczną dokładna znajomość „klasyków“ t. j. tych twórców, którzy umieli połączyć w swych dziełach genialność z wymaganiami rozumu i dobrego smaku.

Fr. Brzeziński.

W KALEJDOSKOPIE SCENY.

Teatr Rozmaitości w dbałości chwalebnej o urozmaicenie repertuaru i w przekonaniu, iż młodym autorom polskim należy dać możność wypowiedzenia się ze sceny wystawił w tygodniu ubiegłym dramat jeonoaktowy Wacława Rogowicza „Chór pielgrzymów“.

Wacław Rogowicz należy do tej kategorji pisarzów, którzy z talentem nieprzeciętnej miary łączą wielką kulturę — jak w tym wypadku literacką i artystyczną. Jednego i drugiego dowiódł, przysparzając literaturze ojczystej, prócz młodocianej powieści „Zocha“, nagrodzonej ongi na konkursie „Głosu“ i cieszącej się w swoim czasie znacznem powodzeniem, cały szereg nowel („Rywalki“ „Mozaika Kaukazka„) o pierwszorzędnej wartości artystycznej. Wytworny liryk (w młodości najwcześniejszej) później subtelny analityk i krytyk, znakomity tłomacz literatury francuskiej (dość wspomnieć przekłady „Adolfa“ Benjamina Constant, „Contes cruels“ hr. de Villiers-de l'Isle-Adam — z przepięknie napisaną przedmową do tychże opowiadań — i „Siedem opowieści miłosnych“ z Pawła Gauguina, Marcelego Schwoba, Anatola France'a, Karola von Lerberghe'a i Oskara Wilda wybranych i przełożonych.)

Rogowicz zajmuje w literaturze polskiej miejsce wybitne: jest artystą nawskroś, jest indywidualnością mocną, odrębną, zajmującą. Posiada wielki, cenny dar wyrażania swoich myśli w sposób oryginalny, niezwykle ciekawy, a piękny, dba o staranność w opracowaniu tematów, które są u Rogowicza zawsze niepowszednie, nie banalne, ujęte w formę artystyczną nieposzlakowanie. Już dawniej, pisząc o „Rywalkach“ Rogowicza zwracałem uwagę na dynamikę wewnętrzną jego opowieści, wysoce dramatycznych w pomyśle i nastroju. I „Pustelnik z Djamentowej wody“ — prześliczna opowieść wschodnia— i „Zemsta Jakóba Morue“, równie piękna, choć odmienna — to dramaty zamknięte w ramach noweli. Z tem większem zaciekawieniem oglądałem na scenie teatru Rozmaitości „Chór pielgrzymów“ Rogowicza. Rzecz, w pomyśle nieco melodramatyczna, posiada może zamało akcji właściwej, pewne dłużyzny djalogów, zużyte niekiedy motywy dramatyczne. Lecz napisana jest pięknym, może zanadto literackim językiem nacechowana tą wyraźną kulturą, której tak wielu naszym znanym pisarzom brakuje.

Rogowicz w tym swoim pierwszym utworze nie rozwinął dostatecznie tych wszystkich cennych zasobów, jakie talent jego posiada: zapatrzony w wizję wyśnioną artysta zapomniał, że scena ma swoje wymagania, które żelazną jak gdyby obręczą ściskają fantazję twórcy; że sytuacje w dramacie muszą się rozwiązywać z nieubłaganą konsekwencją, poprostu, bez żadnego wysiłku, a każdy efekt sceniczny, aby nie zawiódł, musi być wyzyskany umiejętnie i odpowiednie znaleźć uzasadnienie w toku akcji. „Chór pielgrzymów“ nie wszystkim wymaganiom sceny czyni zadość, lecz na dobro autora zapisać należy dobry djalog, niewątpliwe poczucie efektu teatralnego, jeszcze niepewne, nieświadome, niezupełnie zdecydowane, którego wyrazem jest zakończenie dramatu. To skojarzenie ulubionego przez bohatera dramatu śpiewu z „Tanhäuser'a“ w wykonaniu chóru pielgrzymów wraz z momentem dramatu, gdy Felling korzy się przed ciosem, jaki mu los zsyła i całą duszą pragnie odpokutować bezwiedne, czy świadome błędy i winy przeszłości — utwierdza nas w przekonaniu, że Rogowicz pisać dla sceny może i powinien. Jego pomysły twórcze — nawet mniej szczęśliwe odcinać się będą swoją oryginalnością od szablonu ogólnego, a talent niewątpliwy, wsparty widocznem zamiłowaniem do pisania dla sceny i coraz większą techniką — pozwoli Rogowiczowi, nawet już w niedalekiej pszyszłości — zająć miejsce w pierwszych rzędach naszych pisarzów scenicznych. „Chór pielgrzymów“ jest pierwszym krokiem na tej drodze, witamy go też z całą życzliwością, jako zapowiedź prac nowych, cenniejszych i trwalszych.

„Chór pielgrzymów“ poprzedził komedję Fredry „Pan Geldhab“, graną stylowo, ale trochę za powolnie. Frenkiel stwarza tu typ doskonały, życiowo wierny. P. Sulima wyborną jest jego partnerką, p. Różycki arcymiłym księciem, a doskonale gra Lubomira p. Śliwicki. Pozostali wykonawcy z pp. Staszkowskim i Różańskim na czele stworzyli zespół dobry i zgrany.

T. Kończyc.

i zestawienia świetlanej przeszłości z dzisiejszą wytężoną pracą nad odrodzeniem polskiej szkoły, p. Łopuszański z wielką wiarą w przyszłość, tak konkluduje swoje wywody.

„Zastępom nauczycielstwa, któremu po wiekowej niewoli przypadło w udziale szczęście kładzenia podwalin pod gmach polskiej narodowej szkoły, sił i zapału dodać może radosna wiara w wyniki tej trudnej pracy, bo gdzie tylko polska twórczość, jak na polu literatury i sztuki, nie była skrępowana, tam naród stawał się sobą i tworzył dzieła odrębne, a nie mające sobie równych w świecie. Winniśmy stąd zaczerpnąć niezłomne przekonanie, że oswobodzona z więzów polska twórczość pedagogiczna zbuduje pierwszą szkołę świata, szkołę, z której wychodzące pokolenie naszych wnuków zamienią w ciało tę swietlaną wizję Polski, co przyświecała nam w latach niewoli, i świat nią zadziwią“.

Surowiecki W.

O upadku przemysłu i miast w Polsce.

Biblioteczka dzieł społeczno - ekonomicznych pod redakcją Dr. Zofji Daszyńskiej-Golińskiej. Tom XI.

W Bibl. dzieł społeczno-ekonomicznych ukazał się nowy tomik zawierający pracę znanego ekonomisty, radcy do spraw administracyjnych z 1817 r., W. Surowieckiego, p. t. „O upadku przemysłu i miast w Polsce“, opisującej stan rzeczy po olbrzymich i długotrwałych wojnach i rozbiorach. Zapoznanie się ze stanem ówczesnym, choćby dla porównania z tym, co jest dzisiaj, będzie niezmiernie pouczające i dość celowe, to też dobrze się stało, że praca ta wydaną została w chwili obecnej. Przypomnieć należy, że w tej samej Biblioteczce, wydawanej przez M. Arcta, wyszły dzieła innych ekonomistów, dziś niezmiernie godnych poznania, jak: Fr. hr. Skarbka, J. Supińskiego, H. Kamieńskiego, W. Stroynowskiego, Heone-Wrońskiego, H. Kołłątaja, St. Staszyca i t. d.

Górska Pia.

36 Pogadanek religijnych z małemi dziećmi.

Dla ochron i szkół początkowych.

Pełne zasłużonego rozgłosu wśród wychowawców i wielkiej radości wśród dzieci, pogadanki religijne Pii Górskiej zebrane zostały w pewną całość i wydane z przeznaczeniem do użytku ochron i szkół początkowych. Na całość tę złożyło się: 22 pogadanki o życiu i nauce Chrystusa, 5 pogadanek na temat świąt i uroczystości, oraz 9 pogadanek na temat „Ojcze nasz“ — pacierza dziecka. Pogadanki te, prowadzone przez autorkę w formie rozmów z sześcio do ośmioletniemi dziećmi, zawierają oryginalne odpowiedzi dzieci, co nadaje im dużo cech szczerości i oryginalności. Aprobowanie przez cenzurę kościelną i zalecone do powszechnego użytku w ochronach i szkołach, znaleźć powinny „Pogadanki religijne“ jaknajszersze zastosowanie, gdyż na to zasługują.

Dr. Regina Danysz Fleszerowa.

Geografja dawnych ziem Polski.

(Książka do czytania polecona przez Wydział Pedagogiczny Polskiej Macierzy Szkolnej w Warszawie).

Geografja Dr. Danysz Fleszerowej jest właściwie książką o Polsce, przeznaczoną do czytania dla najszerszych mas, jakiej potrzebę odczuwaliśmy dawno. Począwszy od omówienia granic Polski historycznej i etnograficznej opisuje w następnych rozdziałach: powierzchnię Polski, wody, lądy, pola, bogactwa kopalne, przemysł, komunikacje, ludność, podział polityczny i administracyjny, wreszcie ciekawe objaśnienie: co to jest mapa i jak z niej korzystać.

Przystępny ten opis ziem naszych zilustrowany 85 rycinami i 2 mapami znakomicie służyć może jako środek uświadamiający masy ludowe i robotnicze o tem, czem Polska była, czem jest i czem być powinna.

Dr. M. Lipska-Librachowa.

O metodach nauczania w szkole elementarnej.

Rozważania metodyczno-pedagogiczne.

Wychodząc z założenia, że „szkoła ludowa musi być dla każdego społeczeństwa, a tem więcej dla naszego, środkiem wychowania narodowo-społecznego“ oświetla autorka zagadnienie obecnych metod i programów szkoły ludowej z punktu widzenia odpowiedniości w stosunku do umysłu dziecka i potrzeb. Rozważania swoje ujęła autorka w cztery zasadnicze rozdziały: Umysłowość dziecka, Indywidualne typy umysłowe, Metody nauczania, Ocena metod z punktu widzenia pedagogicznego.

Książka p. Librachowej zasługuje na gruntowne przestudjowanie, nietylko przez nauczycieli ludowych, ale przedewszystkiem przez osoby pracujące na polu oświaty publicznej.

Witkowska H.

Elekcje. Rokosze. Konfederacje.

Książeczka H. Witkowskiej stanowi rodzaj wypisów historycznych, wypisów z prac autorów tej miary, co: Rembowski, Sobieski, Pawiński, Szajnocha, Korzon, Askenazy, Kraushar, Kubala, Smoleński i in. Zebrano prace najlepsze, które poinformują czytelnika dobrze o elekcjach polskich od pierwszej wolnej elekcji w r. 1573 począwszy, następnie o wszystkich konfederacjach, i wreszcie o rokoszach i związkach wojskowych. Wiemy, jak ważne to były sprawy w dziejach Polski, jak wiele złego ale i dobrego czyniły, dobrze będzie jednak przypomnieć je sobie w tych właśnie czasach. Książka nadaje się również doskonale do czytania dla młodzieży szkolnej.

Z żałobnej karty.



Ś. p. Anna Tomaszewicz Dobrska.

W d. 11-ym b. m. zmarła w Warszawie jedna z najwybitniejszych kobiet naszych, doktorka medycyny Anna Tomaszewicz Dobrska.

Pionierka ruchu kobiecego w najpoważniejszem tego słowa znaczeniu, pierwsza kobieta w Polsce, zdobywająca dyplom uniwersytecki jako lekarz, obdarzona niezwykłemi zdolnościami i żelazną wolą, z nieugiętą energją stanęła do walki z zakorzenionemi od wieków uprzedzeniami i pracą sumienną, niestrudzoną, popartą rzadkiemi zaletami towarzyskiemi, osiągnęła pierwszorzędne stanowisko.

Uniwersytet kończyła w Zurychu w 1880 r., praktykę w Warszawie rozpoczęła w roku 1881-ym. Długiego lat szeregu było potrzeba, żeby zwalczyć nieufność tak świata lekarskiego, jak i pacjentów. Ś. p. Anna Tomaszewicz Dobrska zwalczyła ją. — Kilkadziesiąt lat ciężkiej, niezmordowanej pracy, poświęconej II-iemu przytułkowi położniczemu przy ulicy Żelaznej, to trwały pomnik zasług ś. p. Anny Tomaszewicz Dobrskiej. W przytułku tym była nietylko ordynatorką, ale i opiekunką najuboższych. Pod jej kierunkiem kształciło się wielu znanych akuszerów i ginekologów. Jaką była jej pełna inwencyi praca organizacyjna, z jakiemi borykała się trudnościami sanitarnemi, obejmuje wydana przez nią książka o owym przytułku za lata 1882 — 1911.

W świat naukowy wprowadziły ś. p. Annę Tomaszewicz Dobrską wydane za granicą prace: „*O labiryncie ucha*“ — „*O działalności chloralu*“ — „*O drażnieniu mięśni*“ i t. p. Znaną też była jako prelegentka, przemawiająca głównie na temat spraw hygieniczno-wychowawczo-społecznych, a prace zawodowe nie przeszkadzały w rozwijaniu bardzo rozległej działalności społecznej.

Dla sprawy kobiecej położyła dr. Dobrska niespożyte, nieocenione zasługi, nietylko jako torująca przykładem swoim drogę do wyższych studjów, ale jako zawsze czynna bojownica o prawa obywatelskie dla kobiety polskiej.

Była jedną z głównych organizatorek i wiceprzewodniczącą pierwszego, niezapomnianego Zjazdu kobiet polskich w Warszawie, zwołanego ku czci Elizy Orzeszkowej, — prowadziła sekcyę etyczną w Towarzystwie kultury, — zorganizowała zjazd dla uczczenia jubileuszu Aleksandra Świętochowskiego, który to jubileusz cofnięty został przez władze w ostatniej chwili.

Nad grobem przemawiała dr. medycyny J. Budzińska-Tylicka, żegnając zmarłą w imieniu koleżanek, podnosząc wysokie jej zasługi w wytrwałem zwalczaniu trudności życiowych i naukowych, oraz wykazując jej silną, wybitną indywidualność.

Serdecznie dobra, pełna poświęcenia dla ubogich, w stosunkach koleżeńskich zacna i szczera, ś. p. Anna Tomaszewicz Dobrska była chlubą kobiet polskich.

R.

WACŁAW ROGOWICZ.

CHÓR PIELGRZYMÓW.

Dramat w 1 akcie.

4)

SĘDZIMIR. Skoro sobie tego życzysz — idę po Tonię natychmiast. *(Pauza)*. Tylko... co mam jej właściwie powiedzieć?

ANDRZEJ *(porywczo)*. Jakto, co?... Że proszę żeby wróciła zaraz do domu. *(Namyśla się)*. Albo, nie... lepiej jak ty jej sam to zaproponujesz... *(ciszej)*. Tonia też jakoś niespokojna, tak badawczo dziś we mnie patrzy... Kobiety kochające mają ostrowidztwo uczuciowe, blizkie jasnowidzenia. *(Spostrzega się, że zawiele powiedział i zmienia ton)*. Zauważyłeś, jak Tonia była niezadowolona gdyś powiedział, że rano wypaplałeś mu nowinę o nas?... Ona wie przecie, że Kaleński się w niej durzy. Nie byłaby kobietą... Nie chciała, żeby tak raptownie ta wieść na niego spadła.

SĘDZIMIR *(po chwili)*. Aha, przypominam sobie: coś mi się dostało za to. Ale cóż ja właściwie jestem winien.

ANDRZEJ *(pobłażliwie)*. Nie mam do ciebie pretensji, stary dzieciaku; uważałeś to za zupełnie naturalne. Ale teraz... rozumiesz mnie? Nie okazałem przy niej niczem, że mnie to również i napewno mocniej obeszło, gdyż nie chcę Toni swoich obaw suggestjonować, swoich złowróżbnych przeczuć podsuwać. Dlatego też nie oponowałem, gdy wybierała się odwiedzić dziś chorego, jak zwykle. *(Pauza)*. Ale... dość tego, dość! *(Nawpół przytomnie)*. Nie chcę, nie chcę, nie mogę! *(Przysuwa twarz do twarzy Sędzimira, mówiąc słowo po słowie natężonym szeptem)*: Ja — się — dziś — boję — tego — człowieka.

SĘDZIMIR *(biorąc go za ramiona)*. Uspokójże się, Andrzeju. Zaraz idę i sprowadzę ci Tonię. Ujrzysz ją pogodną i wesołą — ręczę ci.

ANDRZEJ *(gorączkowo)*. Tylko nie mów nic, że to ja cię przysyłam — pamiętaj! wymyśl jaki pretekst.

SĘDZIMIR *(Namyśla się)* Hm... *(Uderza się ręką w czoło)*. Szukam a mam pod reką. Wizyta księcia Gesso!

ANDRZEJ. Prawda! Doskonale. Tonia tak go chciała poznać. *(Pauza)*. Kaleński nie powinien się czuć dotknięty, że z tego powodu wzywam Tonię.

SĘDZIMIR *(żywo)*. Ależ, naturalnie. Zresztą pogniewa się, to się przeprosi. A nie — to pal go licho! Idę.

ANDRZEJ *(niecierpliwie)*. Idź już, idź, mój drogi. Weź samochód — będzie prędzej.

SĘDZIMIR *(bierze kapelusz i laskę)*. Wyjdę tędy *(wskazuje drzwi od pracowni)* na ulicę — łatwiej znajdę tam taxi-auto. Do widzenia. *(Wychodzi na prawo)*.

ANDRZEJ *(za nim)* Do widzenia. Spiesz się. *(Zaczyna w ponurej zadumie spacerować po pokoju. Staje)*. Samemu dźwigać taką tajemnicę... co za brzemię... Ach! *(Ściska oburącz skronie. Patrzy z przerażeniem przed siebie. Głebokim, gorącym szeptem)*. Toniu... jam nie winien śmierci twego ojca... choć z mojej padł ręki... *(Opada na fotel i trwa długą chwilę bez ruchu. Naraz zrywa się i rozgląda trwożnie dokoła, nasłuchuje. Dziki przestrach maluje mu się w oczach. Postępuje z trudem parę kroków ku drzwiom od ogrodu. Zdławionym głosem)*. Co to?... kto tam?... Ktoś tu idzie... słychać kroki... po żwirze... *(opanowywa lęk i szybko zbiega do ogrodu. Po chwili powraca z Tonią. W progu, chwytając dech)*. Tak mnie przeraziłaś... nie spodziewałem się... *(Usiłuje zapanować nad sobą)* ...że wrócisz... teraz.

TONIA *(ze zdumieniem, niepokojem i tkliwością)* Andrzeju, co ci jest? Zbladłeś tak strasznie, jakbyś upiora ujrzał... Uspokój że się. *(Całuje go w czoło)*. Wzdrygnąłeś się ujrzawszy mnie... Czyż tak ci niespodziany powrót mój niemiły? *(Uśmiechając się do uspokojonego już Andrzeja, zdejmuje kapelusz i rękawiczki)*. A ja chciałam ci, przyjemną, sądziłam sprawić niespodziankę, bo wyobraź sobie, Kaleńskiego, który od zimy jak wiesz, nie wychodził z domu, nie zastałam: wsiadł do fiakra, powiada mi odźwierna, z jakimś panem, sądząc z opisu ze Strzygą i pojechał na spacer; miałam na razie zamiar wpaść do jednej z koleżanek z konserwatorjum mieszkającej obok — lecz się rozmyśliłam i... jestem tutaj, ale, *(z żartobliwem zachmurzeniem)* jeśli moja obecność nie miła, to sobie zaraz pójdę.

ANDRZEJ *(biorąc jej rękę, serdecznie)*. Dokąd-że to, Toniu... cóż znowu?... To tylko moje zdenerwowanie... *(z uśmiechem)*. Dobrze, żeś już z powrotem, bardzo się cieszę, że nie zastałaś Kaleńskiego, bardzo. Właśnie przed chwilą wysłałem Sędzimira po ciebia. Minęliście się w drodze. Wyszedł tędy, *(wskazuje)*. Czekam na księcia Gesso, zapowiedział swą wizytę, więc trzeba...

TONIA *(żywo, przerywając)*. Który? Dominik? *(gdy Andrzej skinął głową, radośnie)*. Ach, jak to dobrze! Tak go chciałam poznać *(po chwili)*. A może moja obecność...

ANDRZEJ. Skądże? Przeciwnie. Przedstawię mu, co mój dom posiada naj...

TONIA *(zatyka mu usta dłonią)*. No, tylko bez pochlebstw, bo gotowam uwierzyć i *(żartobliwie)* i co będzie?... Mogę stać się próżna, zarozumiała, wymagająca...

ANDRZEJ *(tym samym co ona tonem)* ...jak wiosna, jawiąca się w jesieni moich dni *(po chwili)*. Wiesz co, zanim ów gość nadjedzie, kończmy przerwaną przez Sędzimira sjestę. Tak nam dobrze było. Siądź i zagraj. *(Prosząco)*. Wiesz co...

TONIA. Może lepiej nie. Znowu będą smutki, czarne myśli...

ANDRZEJ *(siadając w fotelu tak jak na początku aktu i posuwając Tonię z lekka ku fisharmonji)*. Nie, nie, nie. Graj dziecko, proszę.

TONIA. Zapalę światło.

ANDRZEJ. Oh, nie.

TONIA *(stoi zamyślona. Po chwili)*. Andrzeju, ja mam do ciebie wielką prośbę. Pewne pytanie, które mnie oddawna męczy.

ANDRZEJ *(niespokojnie)*. Co dziecko?

TONIA. Mój pan taki zaraz niespokojny...

ANDRZEJ *(hamując się)*. Nic, nic. Słucham.

TONIA *(smutnie)*. Dlaczego ty nie robisz żadnych starań, by pozwolono ci wrócić do kraju? Przecie ta twoja sprawa polityczna tak dawno cię wypędziła za granicę. Tylu ludzi wraca po latach. *(blizka łez)*. Czy my nigdy nie wrócimy do Polski?... Takbym chciała...

ANDRZEJ *(głucho)*. Tęsknisz?

TONIA *(cicho)*. Tak. I ty też — wiem.

ANDRZEJ *(z ciężkiem westchnieniem)* Dlaczego dziś o to pytasz?

TONIA. Mówiłeś takim bolesnym głosem, przeglądając depesze i listy: „A z kraju nic".

(pauza)

ANDRZEJ. Pomyślimy nad tem, Toniu.

TONIA *(błagalnie)*. Zacznij zaraz starania, mój najdroższy! *(całuje go w rękę)*.

ANDRZEJ *(usuwając zlekka rękę)*. To długo potrwa.

TONIA. To nic. Byleś zaczął *(radośnie)*. Taka będę szczęśliwa!

ANDRZEJ *(z lekką wymówką)*. Źle ci ze mną było tutaj?

TONIA *(zasłania mu usta dłonią)*. Nie mówić tak *(pauza)*. Ale tam będzie jeszcze lepiej.

ANDRZEJ. Wiesz, dziecino, ileś ty miała lat, gdy cię wywieziono z Polski?

TONIA. Wiem: sześć *(z udanym frasunkiem)*. Strasznie jestem stara. *(Poważnie)*. Tak wszystko pamiętam: dom ciotki z ogrodem, mój kącik w pokoju... potem...

ANDRZEJ *(przerywa jej)*. No, dosyć, dosyć, Toniu. Smutne miałaś dzieciństwo. Nie przywołujmy tych wspomnień. *(Podprowadza Tonię ku fisharmonii)*.

TONIA *(zwolna siada. Chwila ciszy. Dźwięki Hymnu Pielgrzymów z „Tannhaüsera". Tonia stopniowo w zamyśleniu przetrzymuje uderzenia, wreszcie roztapia je w zadumie głębokiej. Drgają echa ostatnich tonów)*.

ANDRZEJ *(wyciągnięty w fotelu, twarzą do Toni, mówi wpół do siebie)*. Tannhaeuser... Wygnany z Wartburga.. przez Kościół wyklęty... z rycerza-poety pielgrzym... daremna pokuta... Rzym nie odpuścił...

TONIA *(wsłuchana w słowa Andrzeja, kończy zań szybko)*. Lecz odpuściła Elżbieta! *(z zapałem)*. Nie do potęg ziemskich po odpuszczenie iść trzeba, nie do królów, nie do papieżów — jeno do serca miłującego... Ono zawsze odpuści.

ANDRZEJ *(ciągle zadumany)*. Odpuści?... lecz czy zawsze *(silnie akcentując)*... może serce odpuścić?... *(Głucho)* i czy wszystko?

TONIA *(namiętnie)*. Wszystko!

ANDRZEJ *(wzruszony)*. Oj, dziecko, dziecko... *(Tonia siada mu u kolan)*... masz serce gdyby morze... nieogarnione, niepojęte, czyste, głębokie, wieczne — żywioł święty, *(chmurniejąc)*, lecz czasu burzy...

D. c. n.

Z łacińskich elegii Jana Kochanowskiego.

Próżno mię cieszyć chcecie przyiaciele [moi,
zakochany o rady rozsądne nie stoi,
bo nieroztropna miłość rad takich niesłucha.
Nie tylko zaślepiona jest, ale y głucha.
Chyba, iż iey lenistwo zachwalać zaczniecie:
wonczas wszytko usłyszy iaknalepiey [w świecie,
y potwierdzi...
Ród ludzki tkwiąc w okrutnym błędzie
y mnie moią szaloną miłość ganić będzie.

Nad brzegiem płowey Wisły ia, twardy [Sarmata,
pod zimnem niebem, kędy północ lodowata,
wychowany zostałem przez miłość... Zapały
miłosne od rycerskich prac mię oderwały
y od obrony kraiu, który trud tak słodki
za iedyną swą troskę miały nasze przodki,
kochaiąc sztuki piękne składać wdzięczne [pienia,
by w przyszłości nie tylko chłodna ziemia [Traków,
ale swego śpiewaka miał y kray Polaków,
Muza moia sprowadzać lasów nie zamierza
z wysokich gór; dzikiego nie chce wabić [zwierza.
Moie pragnienie, moie marzenie iedyne
wdzięcznem pieniem przeiednać stydliwą [dziewczynę...
Pieśnią otworzyć mocno zaparte podwoie...
Ieśli tego dokażą tylko wirsze moie —
idźcie sobie gdzie chcecie zwirzęta y lasy...
Rzek nie chcę strzymać... Byleby po [wszytki czasy
kochanka była przy mnie, — niech szalone [rzeki
korytem swoim wartko płyną w świat [daleki...
Niech inszemu przypadnie wroga pokonanie,
niech iedzie — podziwiany przez lud — [na rydwanie,
niech wiedzie króle-ieńce, poskromiwszy [Party,
niech ozdobi kościoły w sztandar im [wydarty.
Ieśli ty zwrócisz na mnie pośrzenie łaskawe
za nic mam wonczas zwycięstw nad [Scythami sławę,
za nic potężne państwo starego Aliata,
za nic skarby, któremi Azyia bogata.
Kto ludzkie sprawy słusznie ocenia y sądzi
ten nie wie czy Bóg, czy los ślepy nimi [rządzi.
Bezpłodnymi wydaią się trudy wytrwałe,
tak iest wszytko niepewne y tako niestałe.
Ludzi poćciwych prawo przepędza [z oyczyzny;
abo na śmierć skazuie daiąc im trucizny.
Od uderzenia gromu ginie czcicieł bogów,
z ręki niewierney żony mrze zwycięzca [wrogów.

Krezusie wszechpotężny, kędy się podziała
fortuna twoia oraz bogactw mnogość cała,
kiedy poyman przez wroga (o, niestały [losie)
iako płomię gorzałeć, podpalon na stosie.
Wonczas poiąłeś prawdę, iż *póki iest żywym*
nie można nazwać nigdy człowieka szczęśliwym,
Ileż bowiem zagraża nam srogich obieży?
Któż wie czego unikać, co czynić należy?
Słusznie tedy z Sylenem można życzyć [sobie,
byśmy sie nie rodzili, abo legli w grobie
po przyjściu na świat. Kto wie iaki los [nas czeka?
Niema nieśmiertelnego na ziemi człowieka.
Komu dłużey iest dano doświadczać żywota,
tego dłużey morduye troska y tesknota,
któraby ominęła go częstokroć cała,
gdyby przęda Lachesis w porę sie zerwała.

Nie umarł w chwili szczęsney on Pryiamus [stary:
dzięki temu oglądał Troiańskie pożary,
widział Hektora ciało przez konie wleczone,
widział wziętą w niewolę ukochaną żonę,
y świątynie posoką ludzką pokalane,
y niebiosa od mordu y rzezi rumiane...

Przełożył
Juljan Ejsmond.

ORY JELSKA.

EWUNIA.

9)

Na kanapce siedzi Tadzik. Twarz w dłoniach kryje, a przez palce płyną łzy!

— O jak pani śpiewa, duszę rwie.

Błyszczącemi źrenicami spogląda na mnie ze czcią jakby.

— Pani ma talent, grzech go marnować.

— Więc co?

— Iść na scenę!

— Ha, ha, ha, — huczy szydersko mój śmiech w tym pustym pokoju. Idź pan powiedz im to! — wyciągam rękę!

Wzrusza ramionami.

— Co znaczą wszelkie ofiary, jeśli się sztukę ponad wszystko ukocha? — On też sprzeciwia się woli matczynej, idzie tam gdzie go serce woła, nie cofnie się przed niczem...

— Sztuka to potęga, to wszystko co piękne, wszystko co dobre, poza tem nic niema, kogo ona upodoba ten ją sobie na wyżynie postawi, w nią ma jedynie oczy wlepione, ją tylko widzi! Sztuka...

Słowa jego płyną jak wezbrana lawa, promienieje zapałem dziecinna twarzyczka, on rośnie, olbrzymieje...

— I pani mówi, że ją kocha? Pani się boi...

* * *

Boję się? Czyżby to dziecko miało rację?

„A komu wiele dano od tego wiele wymagać będą!“

Kto to powiedział?

Może ja źle rozumiałam mój obowiązek?

Słucham Tadzika z przymkniętemi oczyma... i z grobu powstają te rojenia co kiedyś...

Sny złote są tuż!...

Eh! Miraże!

A dziecko z twarzą cherubinka mówi mi:

Nie bój się nie, wyciągnij rękę, poprowadzę!

* * *

Idę!

Wahanie było długie, wewnętrzna walka ciężka, teraz jestem zdecydowana, już się nie cofnę. Milczę, gromadzę siły, by z tem większą mocą wybuchnąć mogły.

Tymczasem jest we mnie wielka cisza, nie ta umarłych, co już na nic nie czeka, niczego sią nie spodziewa, cisza groźna, pełna piorunów jak zwykle przed burzą

Tadzik wyjechał, nie chciałam by tu był. Jutro Kempner wraca. Nie układam planów, nic nie wiem jak zerwę, wiem tylko, że zerwę bo inaczej być nie może.

Jednak ciężko mi!

I przyjdzie się w proch rozsypać czyjeś marzenie o szczęściu.

Tego człowieka dobrego, którego całą winą jest, że kocha mnie.

Co to będzie?

Mówię sobie trudno, niema rady.

Mus.

Najlepiej uciąć ostro, rana może zagoi się prędzej.

Phy! i poszło przedziwnie łatwo! Przeceniłam widać jego uczucie i zabawna rzecz. Chciałam odegrać rolę wielkiego współczucia. Zła jestem na siebie. Wystawiałam sobie owo zerwanie w tragiczno-czarnych barwach i omyliłam się mocno...

Obyło się bez afektów, został mi tylko niesmak nieudanej roli, mam trochę żalu czy też niechęci do niego za to, iż tak chłodnym panem słów swych pozostał do końca.

Nie udało się obserwowanie owada na szpilce. Ba! dobrze mi tak!

Poszliśmy do ogrodu.

Mówiłam cicho nie patrząc na niego.

Omyliłam się, żoną jego nigdy nie będę mam drogę inaczej wytkniętą, inny cel! Bezwiednie powtarzałam słowa Tadzika o sztuce.

Szliśmy długo, nie przerywał.

Skończyłam!

Cisza.

Zaniepokoiłam się. Spojrzałam mu w oczy. Stanął, oparł się o poręcz mostku, wzrok utkwił w sadzawkę.

Przy brzegu maleńka żabka zielona wychylała główkę z wody i wnet ją napowrót chowała. Kum! kum! kum! wołały na nią głosy z głębi.

— Pan ma żal do mnie, — zaczęłam niepewnie, — ale doprawdy widzi pan nie mogłam, ból pana i mnie boli... pan przecież wie ile miałam dlań przyjaźni...

Wyprostował się.

— Proszę pani... to są słowa!

Zsunął pomału z palca pierścionek, podał mi.

Moje nerwy drgają.

— Panie Auguście?

— Słucham!

Porywa mię spazm, dusi za gardło, całą siłą go tłumię, by głośno nie wybuchnąć.

— Panie Auguście, nie tak! nie tak! rozstańmy się jak dwaj przyjaciele co sobie dobra życzą, chcę zachować jasne o panu wspomnienie, nie psujmy go!

Wyciągam obie ręce.

Bierze jedną tylko w swe zimne dłonie i do ust niesie.

— Nigdy pani źle nie życzyłem, owszem niech pani będzie szczęśliwą!... Zda mi się głos mu drży?... złudzenie!

— A pan?

— O, ja?! nic mi nie będzie, może pani być spokojną. Dowidzenia!

— Kto wie możemy spotkać się jeszcze w życiu.

Odchodzi równym elastycznym krokiem, nie obejrzał się nawet...

Więc łatwo mi poszło!

Czemu mi źle?

Mam wrażenie, że byliśmy nieszczerzy!

Są chwile, w których wszystko trzeba wypowiedzieć, bo potem to coś niedomówionego krąży jak zmora i kropelkami ołowiu na sumieniu osiada.

Leniwie wracam do domu.

Spotyka mnie mama.

— Ah! acha! a gdzie pan Kempner?

— Pojechał już i nie wróci. — Odpowiadam krótko.

Zamykam się w swoim pokoju.

* * *

Paryż.

Już miesiąc jak wyjechałam, uciekłam z domu. Wybrałam sposób najłatwiejszy.

Zabrałam wszystkie swoje oszczędności, manatki, cichaczem spakowałam i w świat.

Zostawiłam list do rodziców tłomacząc, prosząc o przebaczenie, potępiając swe postępowanie i wiele innych pięknych rzeczy. Phy! jak łatwo mi poszło i to! Tadzik tu pierwej przyjechał, przygotował mi wszystko, odrazu zabrać się mogłam do pracy.

W pierwszych chwilach czasami ogarniał mię jakiś niepokój, pytałam siebie ze strachem: „Cóżeś ty uczyniła!“

Teraz zaciera się to, maleje.

Tak być musiało! Przeznaczone!

Jakie dobre to słowo! lubię je, ono wszystko tłomaczy! powtarzam je coraz częściej.

Dzień mam bardzo zajęty, zmudne początki, nieraz gdy wyczerpana wracam do siebie: „I to się nazywa, że mam głos.“

Co oni ze mną wyrabiają?

— Wytrwałości! — strofuje Tadzik, gdy mu się skarżę.

On chodzi do szkoły dramatycznej uczy się z zapałem, całą duszę włożył.

Imponuje mi siłą swego charakteru, o, ten da się prędzej złamać niż zgiąć, on łokciami i pięścią się przebije, byle dojść do celu!

Mnie czasem traktuje, jak ja Ryśkę kiedyś!

Przychodzi często, siada w głębokim fotelu i gawędzimy, snujemy plany na przyszłość.

— Lubię z panią rozmawiać, ma pani ten zmysł, co każdy tajnik duszy ludzkiej przeniknie! — „Pani urodzona na scenę. O! będzie pani miała świat u nóg swoich“

* * *

Robię coraz nowe znajomości w szkole, wesoła banda artystów, wciągnęli mnię do swego kółka, ruszam się, bawię, z niepokojem widzę fundusze moje topniejące coraz bardziej. Trzeba się chwycić ratunku, który mi jest nadzwyczaj przykry.

Mam sumę po babce, niewielką, 5 tysięcy na moje imię, ojciec pieniędzmi temi rozporządzał, nie chciałam go prosić, lecz innej rady niema! Muszę dumę na bok złożyć i napisać, by przysłał. Trudno! nie mogę zamknąć się w czterech ścianach, chcę użyć młodości, pełnemi dłońmi zaczerpnąć z czary życia!

Dopiero zaczynam!

Więc do listu!

* * *

Napisałam długo, raz jeszcze prosząc o przebaczenie i powtarzając wszystko com już przedtem pisała, liczę z niecierpliwością, kiedy mogę otrzymać odpowiedź.

Smutno mi czegoś!

Przez ten tydzień jestem więcej jakoś sama, nawet Tadzia mało widuję.

Wczoraj wszedł na chwilkę, mizernie wygląda.

— Co panu?

— Przeziębiłem się pewno, kaszlę, głowa mię boli.

Gderam. — Niech pan się szanuje, wieczory chłodne takie, powietrze zdradliwe.

Patrzy na mnie trochę zdziwiony.

— Eh głupstwo! niewarto się troszczyć.

Powiedziałam mu o moim kłopocie.

— Boję się, by ojciec nie zechciał zmusić mię, abym do domu wróciła i nie przysłał; choć właściwie jestem pełnoletnią i mam prawo rozporządzać temi pieniędzmi.

— Będzie pani zmuszona zadłużyć się u mnie!

— Ba! a jaka pewność, że kiedykolwiek będę mogła oddać.

— Eh! niema obawy, co pani będzie znaczyć taka mizerna sumka, jedna suknia mniej!

— Ależ pan pewny!

— A pani? poco udawać.

— Dowidzenia, trzeba mi już iść.

— Gdzie?

— Ot tak trochę połazić, nie znoszę długo siedzieć na miejscu.

— Niech pan nie spieszy, zaśpiewam coś ładnego.

— O nie! nie!

Poszedł! D. n.

IZA BRONIKOWSKA.

Sâdhâna

(Urzeczywistnienie życia).

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

W drzwiach, w oknie kołyszą się powiewnie jedwabne, trawiaste kotary: rajskie ptaki roztaczają na nich pióra ogniste, fruwają lekko małe błękitne i różowe kolibry.

Dobrze mi u ciebie!

Wyrwało się mimowoli z ust Ani westchnienie głębokiej, nieledwie fizycznej rozkoszy. Przestała rozmawiać i odstawiła pustą filiżankę z niebieskiego Wedgewood'a otoczoną delikatnym wieńcem białych nimf greckich.

Przechyliła głowę trochę w tył.

Wszystkiemi nerwami brała w siebie radośnie tę atmosferę dziwacznego piękna. Przepych nęcił ją i działał na nią kojąco; miłośnie prawie przyglądała się lila storczykom, konającym niechętnie i z wdziękiem w starożytnych maurytańskich słoikach z złocistej majoliki—zdobnych w błękitne liście i ornamenty; (niegdyś pono sprzedawano w nich zioła i czarodziejskie maście).

— Jest pani od dni już wielu smutna i dziwna, jak te kwiaty i oto dzisiaj,—przyszłaś, smutkowi swemu dać nareszcie drogocenną oprawę mej miłości—Zlitowałaś się nad sługą swym—powiedz?

Z marmurowej płyty przygląda się im duża żelazna Dżu-Itozi-Men-Kuan-On, japońska bogini litości; ma zwyczajne ludzkie ręce bezczynnie i leniwie złożone na piersiach i z każdej strony ciała po tuzinie rączek drobnych niespokojnych—wyciągniętych, jak macki, gorliwych nad miarę.

— Czy posiadanie w życiu cudnych rzeczy, a miłość twoja jest również rzeczą cudną, uważaj—cudniejszą od wszystkich cudów, któreś tu zebrał,—może dać szczęście?

Uśmiechnął się do niej nagle, radośnie, ukazując mokre, błyszczące zęby w różowym koralu dziąseł. Uśmiech musnął mu bladym skrzydłem całą twarz i zatrzymał się pieszczotliwie w podłużnych oczach.

— Mów mi o mnie, Rahju — zapomniałam w tej chwili, jaką jestem w rzeczywistości i chcę usłyszeć od ciebie najpiękniejsze kłamstwo, w które może uwierzę. Mam duszę smutną...

Zapragnęła nagle balsamu słów miłosnych, patrzała więc na niego przez rzęsy i uśmiechała się trochę płaczliwym skrzywieniem ust.

Indus zerwał się.

— Pokażę pani coś ciekawego, rzekł szybko. Zdjął z kominka jakiś mały przedmiot i wyjął z szafy książkę oprawną w malinowy zamsz.

Osunął się na kanapę przy Ani. W wyciągniętej ciemnej dłoni trzymał delikatnie figurkę z Tanagry.

Malutka tancerka, wspinając się na palce jedynym ruchem rozwija długi lekki szal. W terrakotowych zwojach zataił się jakiś różowy blask wschodu. Główkę ma niesłychanie wdzięczną i zgrabną i odrobinę afektacji w ruchach.

Anna przygląda się jej życzliwie.

„A teraz, niech szczęście moje słucha“

Otworzył książkę i, dotykając lekko Tanagry, począł czytać, pieścił ustami słowa.

„J'ai pris de la pluie dans mes mains tendeus
— De la pluie chaude, comme des larmes —
J'ai l'ai bue, comme un philtre — defêndu
A cause d'un charme: —
A fin — que mon âme en ton âme dorme —
— — — — — — — — — —
J'ai pris des herbes et des feuilles rousses
— Des feuilles et des herbes longtemps mortes—
J'en ai fait une flamme haute et douce
A cause, de l'essence de sève forte
A fin que ton attente d'aube fut douce“.
— — — — — — — — — —

— Widzi pani, to jest takie śliczne i w zabarwieniu inne, niż dotychczas napotykane przeze mnie nastroje. To mi daje panią na własność.

Roześmiał się do swych myśli.

— A więc ja jestem taka, Rahju.

— Taka i jeszcze inna. Jesteś, Szczęście, wszystkiem, do czego tęsknię, a czego nie dane mi było zrozumieć, ani określić dobrze. Jest pani może kalectwem mojej duszy.

— Jestem, Rahju, biedna mała dziewczynka, która nie dosłyszała jeszcze w życiu żadnego — Głosu — więc co dzień inna fala ją ponosi. W życiu szukaj przyczyny, nie we mnie.

Otworzyła bezmyślnie książkę: Francis Vielé-Griffin. Wkoło dwóch miłośnie splecionych, centkowanych rudo salamander, napis gotycki: „Ex Libris Rahju“ K. Mankar

— „Królewiczu Nalu“ — czy ciebie — — czy ciebie nie ogarnia czasem rozpacz? — Przecież to straszne, że my — ty i ja — zdolni jesteśmy pojąć — ukochać wszystkie odcienie piękna, a jednak — nie możemy wydać z siebie nic — prócz zachwytu, lub nagany dla tego, co już istnieje. My nie mamy dusz, lecz odbicie piękna tysiąca innych dusz...

Z tła spłowiałego fjoletu i srebrzystych arabesków patrzała się nań oczami skrzywdzonego dziecka. Odstawił tancerkę i usiadł w kuczki przed kominkiem, dorzucając szczypcami węgli. — Z nad ognia — nie podnosząc głowy, rzekł.

— Ludzie mówią czasem wiele, milcząc, działają cuda, a ręce ich leżą bez ruchu. I tysiącem głosów rozdzwania milczenie, a miljardy myśli burzą krew w tych białych, bezczynnych dłoniach. Dusza, to nie to, co daję światu w ofierze, tworząc, lecz to, co w twórczem milczeniu rodzi się w głębi mojej i pozostaje — Mocą — we mnie i tylko dla mnie.

Wstał wolno — Usiadł przy niej i wziął jej ręce.

Oto zabiorę cię z sobą daleko, Szczęście; będziemy przez życie całe chwalić rzeczy piękne, i słuchać będę głosu twej duszy, tak, jak się słucha pieśni w różowej konsze muszli.

Przymknęła oczy — i uśmiechała się ciągle płaczliwie — czerwienią drobnych ust.

Rozkazującym — poważnym ruchem, przyciągnął teraz ku sobie jej dłonie. Poznała kleszcze gibkich chwytnych palców, zimny metal... pierścieni zranił jej ciało.

— Wiesz, jak cię pragnę. — Wierzysz, że to stać się musi —? Przez długie smutne dni myśli moje stroją cię w krwawe rubiny mej miłości... Słyszysz — Ania, otwórz oczy i nie drżyj! Uśmiech twój — szedł do mnie przez życie — wieki całe miałem w sobie dziwne — jedyne twe oczy. — Słyszysz, pragnąłem cię zawsze —! Ty — malutka, blada, chłodna — łaknę dotknięcia twego, więcej, niż słonecznego żaru... Dam ci siebie, Ania... Chodź.

Chrapliwy, zdyszany, coraz prędszy, żarliwszy głos Indusa działał na nią, jak zawrotny dym nardu. Kołysała sennie głową w takt jego słów.

— Noce całe pragnę już ciebie. Wasze chłodne przeraźliwe noce. — Jak obłąkany myślę o twoich białych pocałunkach, czuję je na oczach, jak zimne skrzydełka mroku — a pochwycić nie mogę — nie mogę... Męczę się! Ania...

Cisnął ku sobie jej ręce.

Przerażona nagle, nie czuła już bólu, tylko gorące, ślizkie dotknięcie ciemnej niesamowitej skóry. Zimny pot wstrętu oblał ją całą. Czuła, jak ciało jej słabnie — mięknie — bezsilne, odurzone, jakby jego słowami. Traciła moc oporu.

— Chcesz tego teraz — bo chciałaś zawsze. Za jedwabiem rzęs, oczy twe powiedziały dziś do mnie — że przyszłaś — kazać się prosić. Błagam! — Oto daję ci siebie — ofiarę ci czynię — dań składam z purpurowej nędzy swej duszy —! Królować mi będziesz, Aniu, rubinami mej matki oplotę ci szyję — piersi... Rubiny kołysać się będą, jak łzy — jak w snach moich... Modlę się do ciebie — wszystkiemi siłami duszy, błagam Cię — jak bóstwo litosn...

Ty — najdroższa!...

Zamieniła się modlitwa w rozkaz groźny, z wysokości łaski rzucony. Silnie zgniótł sobie jej ręce na piersiach i pochylił się nad nią nizko.

— Ja ciebie błagam.

Roztworzyła szeroko — szeroko oczy; w przerażonym wysiłku odgięła głowę w tył. Zaczęła powtarzać roztrzęsionemi, zbielałemi ustami.

— Nie, nigdy... nie... nie... nie chcę...

Z rozpaczą chciała mu krzyknąć w twarz słowa rozsypane gdzieś w bezładzie, daremnie próbowała opamiętać się, zebrać przerażone myśli. Mdlący wstręt nową słodkawą falą napływał jej do gardła.

— Boże, niech on się nie dotyka, nie, nie, nie!

Szarpnęła całem ciałem.

Indus zawahał się.

Zgasł pożar miłości w oczach. Oczy drapieżne i natchnione — poszarzały nagle, przygasły, zwarzone zimnym szronem. Popatrzał chwilę pytająco — i puścił wolno jej ręce. Dygotała z przerażenia. Mimowoli tarła nagie kiście dłoni o szorstkie poduszki — — nie — — nie.

Zęby jej szczękały przestrachem. Pod lekkim jedwabiem bluzki waliło pędem serce. Wyprostował się powolnie, z trudnością, jak gdyby dzwigając z ziemi wielki ciężar. Przez naprężoną, śniadą skórę policzków znać było bolesne drganie kurczowo zaciśniętych szczęk.

Spojrzał ponuro na swoje ręce.

Zaczął je oglądać uważnie, z blizka.

Ciemne — dziwnie gibkie i wązkie...

Migocące kusząco z brunatnego, gładkiego tła skóry — ogniami brylantów, szmaragdów —; płaczące mlecznemi łzami pereł, na palcach zwężonych dziwnie u nasady, z jaśniejszemi różowemi, jak płatki dzikich róż, plamami paznogci.

Szczupłe — przedziwne ręce artysty...

Pokręcił niechętnie głową, jakby przecząc coś samemu sobie. Niezupełnie jakoś przytomnie, strasznie sieroco smutno, zaczął mruczeć do siebie obce, gardłowe wyrazy...

Ania siedzi, nawpół żywa ze strachu, bojąc się uczynić najlżejszy szmer — tłumi oddech — zaciska kurczowo usta. Łzy wzbierają niepowstrzymanie w szeroko, aż do bólu rozwartych oczach. Przez chwilę przysłaniają szarozielone przerażenie źrenic, jak szklane, lśniące szybki, osuwają się wielkiemi słonemi kroplami na bezradnie zmrużone rzęsy i znaczą mokre smugi staczając się gładko i prędko po bladych policzkach. Lecą pospiesznie — jedna za drugą — wstrzymywane nadaremno rozpaczliwem mruganiem powiek.

Indus wstrząsnął się.

— Proszę nie płakać — zaczął mówić porywczo i gniewnie, bardzo mi przykro, że to się wszystko stało. Ale przecież ma pani do czynienia z dzikim człowiekiem — trzeba było... O, proszę, niech pani przestanie płakać! Ja, ja doprawdy nie zasłużyłem na taką karę... Odwrócił się szybko, nie chcąc być świadkiem tych łez — i podszedł do okna. Skrzyżował ręce na karku pod białem zawojem i stał, patrząc na oślizgłą ulicę. Szarzało. Co chwila chodnikiem, tuż pod oknem przechodził ktoś w błyszczącym wilgocią waterproofie, lub pod ociekającą, czarną kopółką parasola. Deszcz drobny i przenikliwy, mżył bez ustanku, lecz gdzieniegdzie przecierały się już zadymione skrawki błękitu.

— Rahju...

— Słucham panią! —

Odwrócił się od okna i mówił do niej uprzejmie swym zwyczajnym, lekko chropowatym głosem.

— Ja panią bardzo proszę — niech pani nie tłumaczy nic. Wszystko już wiem i wszystko rozumiem... i tak mi niewypowiedzianie przykro — gdy pani płacze. Proszę pomyśleć sobie tak: głupi Indus — rab mój, nienaumyślnie przecież stłukł mi ulubioną — śliczną lalę — zasłużył na chłostę, lecz bardzo się swej niezgrabności wstydzi i napewno nie przypuszczał nawet, że ja się jeszcze bawię lalkami. Wybaczyć trzeba nędznemu słudze — piękna biała Mem-Sahib...

Patrzy się na nią obco i szaro — oczami wszechwiedzącemi o rzeczach rozkoszy —

Rahju — twój cudny — shańbiony sen... Oh — mnie tak — żal...

Milknie — spostrzegłszy cień zmęczenia, czy niesmaku na jego ustach —

— Cyt, panno Aniu, cicho — tego poruszać nie trzeba — nie wolno — słowa nawet najświętsze, ulecą w nicości i pozostawią nam pustkę, w którą, jak żmija w opuszczone gniazdo — wślizgnąć się może wspomnienie złe — wrogie. Co nam po takim, „królowo Ani“. Milczenie lepsze.

Uśmiechnął się do niej wytwornie — prosząco.

— Chciałabym — umrzeć...

Mówi to tak szczerze, że nie przeraża ją groteskowa śmieszność własnych słów.

Indus pobłażliwie kiwa głową i monotonnie trochę tłumaczy.

(D. c. n.).

LEONIA GRABSKA.

SPĘTANI

POWIEŚĆ.

(CIĄG DALSZY).

Nina szybkim ruchem zarzuciła jej ręce na szyję i wybuchnęła płaczem. Pani Iza zdumiała. Widziała Ninę w rozmaitych okolicznościach, znała ją oddawna, ale łzy i Nina, nie, to nie do uwierzenia, czyżby jakie nieszczęście? Dziewczyna jednak szybko łzy otarła. — Śmiej się ze mnie — mówiła — śmiej, taka duża dziewczyna a roztkliwia się jak dziecko, bo przecież to znów nie powód do łez, że odmówiłam panu Jerzemu, który wczoraj właśnie spotkawszy mnie samą w bibliotece, prosił, bym została jego żoną. Myślę, że uważasz to za zupełnie naturalne, wiedząc że mi jest zupełnie obojętnym, ale przykro mi trochę, że zrobiłam ci zawód, wiem jak lubisz twego kuzyna i przytem to było twojem życzeniem.

— Co, mówisz Nino, to niepodobna, dlaczego to zrobiłaś, to taki ładny chłopiec i stworzony do kochania.

— Niech sobie kocha swoje przyjaciółki, któremi się zawsze chwalił, ach, nie rób takich przerażonych oczu, nie powiedziałam mu przecież tego, ale...

— Ale co?

— To co się w takich razach mówi, że nie kocham go i nigdy bym go nie pokochała. Muszę ci tylko wyznać, że było mi przykro słuchać, jak prosił bym mu nie odbierała nadziei, wskazując na zmiany w swem życiu, prace podjęte nad opuszczonym dotąd majątkiem, nawet zaniechanie hazardu. Ale uważałam, że byłoby nieszlachetnie zwodzić go, więc wspomiałam mu o mem ubóstwie i o tem jeszcze, że nie pójdę i tak nigdy za mąż, gdyż, sztuka zastąpi mi wszytko w życiu. To postanowienie było konieczne, gdyż na żonę nie jestem wcale stworzona.

— A on co mówił na to, czy starał się przekonać cię?

— Nie mówmy o tem, wolałabym żeby do tego nie było przyszło i nie mam sobie nic do wyrzucenia. Byłam dla niego zawsze odpychająca, jak sama mówiłaś, tylko więc zarozumiałość dała mu prawo do oświadczyn.

— Moja droga, miłość nie znosi żadnych praw, a obojętność zwykle podnieca tylko.

— Słomiany ogień, zresztą nie mówmy o tem więcej, dobrze? Słyszałam, że dziś rano wyjechał, to wszystko, uspokój się z miłości nie umiera się tak łatwo, a on, ręczę ci, nie wie nawet, co to jest prawdziwe kochanie.

Pani Iza długo nie mogła się uspokoić, a gdy jeszcze dowiedziała się o wyjeździe Niny zupełnie humor straciła. Domyślała się po trochu, że przyjaciółce przykro pozostawać w domu, w którym wszyscy domyślali się tego, co zaszło pomiędzy nią, a Zagórskim. Nie należało też do przyjemności znoszenie złego humoru pani Mirskiej, która mimo, że nie pragnęła bynajmniej, by Nina weszła do jej rodziny, jednakże obrażona w swej dumie na każdym kroku dokuczała teraz młodej dziewczynie. Tylko Stasia i Kocia niezmiernie zachwycone były Niną, mając wciąż nadzieję, że Jurek w końcu przebłaga młodą dziewczynę.

Ale pani Iza nie miała już złudzeń i nie starała się nawet pocieszyć. A mąż, gdy mu o tem powiedziała, żartował wesoło, jakgdyby nie dotknęło go to wcale.

— Czyż nie mówiłem Ci, że oni nie dla siebie są stworzeni? Zresztą nie bój się moja droga, tak piękne kobiety mają zwykle powodzenie i ona z pewnością nie zostanie starą panną.

— To wszystko, — rozmyślała trochę z goryczą pani Olszanowska, siedząc między hrabiną Okońską, a młodym malarzem — jutro Nina wyjedzie i Bóg wie, kiedy się znów zobaczymy.

Całe towarzystwo polowało dziś na dzika i zaciekawienie było ogromne. Nina ostatni raz cieszyła się swobodą i żegnała ulubione wierzchowce.

Tylko trzy osoby nie brały udziału w polowaniu. Pani Iza przygnębiona i smutna dotrzymywała towarzystwa hrabinie Okońskiej, która będąc zaziębiona nie wychodziła wcale z pokoju, a Adolf nie odstępował jej, mówiąc, że nie może pozbywać się miłego obowiązku, w głębi duszy zadowolony, że może pozostać przy kuzynce, która w ostatnim czasie tak mało zwracała nań uwagi.

Rozmowa jakoś nie kleiła się, pani Iza zajęta była swemi myślami, i choć pani Misia mówiła chętnie i dużo, wątek rwał się co chwila.

Nagle, posłyszawszy szmer w drugim pokoju odwróciła głowę i ujrzała francuzkę, która blada, przerażona dawała jakieś znaki Adolfowi. Jednocześnie w drzwiach tuż stanęła Nina. Zbliżywszy się do przyjaciółki oznajmiła jej spokojnie, prosząc by się nie przejmowała, o niespodziewanym wypadku. Oto pan Zygmunt, skacząc przez rów padł z koniem i skręcił sobie lekko nogę, nie groziło mu jednak najmniejsze niebezpieczeństwo, poleży tylko pewien czas.

Spokój Niny i pewność zdołały utrzymać panią Izę w równowadze, dała się zaprowadzić do pokoju męża i wstrzymała się nawet od łez na widok jego zmienionej twarzy.

Panu Olszanowskiemu rzeczywiście nic nie groziło, lekarz potwierdził przypuszczenie Niny, pani Iza została, tylko bez pomocy, bo tak się źle złożyło, że francuzka wyjechała, wezwana telegramem do ciężko chorej siostry. Jedyna nadzieja była w Ninie, która przytomna i energiczna, umiała zaradzić wszystkiemu, rządzić całym domem. Sama, bez próśb przyjaciółki, powiedziała Izie, że jej nie opuści, gdyż widzi, że jest jej potrzebna.

Zabawy by mnie nie zatrzymały — mówiła — ale, gdy mogę ci być użyteczną, nie mogę się namyślać.

I rzeczywiście obecność jej była nie tylko użyteczną, ale konieczną, liczna służba, pozbawiona kierowniczki opuszczała się w obowiązkach, po wszystkie dyspozycje przychodzono do Niny, bez niej nikt sobie nie umiał dać rady. I po tygodniu pani Iza nie rozumiała życia bez Niny, która miała dziwną łatwość w obejściu z wszystkiemi. Pani Iza nie odstępowała na chwilę męża, który grymasił, jak małe dziecko, nie chcąc jeść, ani cierpliwie leżeć, stosując się do przepisów doktora.

Pewnego dnia pani Iza wspomniała mężowi, że Nina sama zgodziła się zostać jeszcze parę tygodni dla tego jedynie, by nie zostawiać ją samą z chorym. Siedziała odwrócona od niego i nie mogła dojrzeć błysku, jaki zapalił się w oczach Zygmunta. Nina od czasu do czasu przychodziła do błękitnego salonu, gdzie na kanapie spoczywał chory, by pograć mu jego ulubione utwory, a Zygmunt błogosławił wtedy swą zwichniętą nogę.

Raz poskarżył jej się, że niewygodnie mu bardzo samemu czytać, a nie chciałby słyszeć obok siebie monotonnego głosu płatnego lektora. Z początku żona czytywała mu trochę, ale poważne dzieła nużyły ją i słaby głos męczył się szybko.

Nina odtąd codziennie siadała obok sofki i czytała ulubione książki chorego, tłomacząc przyjaciółce, że teraz gdy francuzka już wróciła, czułaby się niepotrzebną, gdyby nie to zajęcie.

I Zygmunt spędzał tak najmilsze dni swego życia. Nie miał wcale ochoty powracać do zdrowia, gdy pomyślał o tem, że z tą chwilą ucichłby tak drogi mu głos, zniknęłaby z tego pokoju smukła postać Niny i nie słyszałby już więcej tyh cud-

nych melodyi, któremi skracała mu długie wieczory jesienne.

A tak mu było z tem dobrze. Rano zastawał już na stoliczku przy sobie świeże kwiaty w wazonie, książkę, papierosy, a wkrótce na dzień dobry trzymał drobne rączki Niny w swych dłoniach i drżał, by się nie rozwiał ten cudny obraz.

Jednego dnia pod wieczór zajechała powozikiem hrabina Okońska. Krótką chwilę spędziła przy chorym, obrzucając bystrym okiem pokój, tonący w kwiatach, pianino otwarte i porozrzucany stos książek.

Uśmieszek ledwo dostrzegalny błądził koło jej pełnych, zmysłowych ust, a oczy czarniejsze niż zwykle rzucały śmiałe i niedyskretne spojrzenia, przenosząc je z chorego na panią Izę, to znów spoczywając uparcie na twarzy Niny.

Gdy obydwie panie wyszły, by wypić herbatę, Nina poruszyła się żywo, wstając z miejsca.

— O proszę, niech pani nie odchodzi, to nie ładnie dla jednego gościa opuszczać chorego, doprawdy ja się tak sam nudzę, gdy panie odchodzą.

— Ależ to niewypada, hrabina Okońska powie z pewnością, że jestem źle wychowana, — żartowała Nina.

Zygmunt uśmiechnął się.

— Niech ją pani zostawi mojej żonie...

Jęknął cicho, probując unieść się na sofie i opadł na nią, mówiąc z wyrzutem:

— Widzi pani jaki jestem jeszcze niedołężny po papierosa nie mogłem sięgnąć, bo pudełko dalej trochę leżało, a kto dziś rano wspominał, że odjeżdża ponieważ pacyent już prawie zdrów?

(D. c. n.)

Kronika działalności kobiecej.

Głosowanie kobiet w Ameryce.

Po raz pierwszy zapisało się w Ameryce na listy wyborcze 280,114 kobiet, mających uczestniczyć w przyszłych wyborach.

Pierwsza kandydatka do Izby gmin.

Angielska partja robotnicza postawiła w okręgu wyborczem Stourbridge pierwszą kandydaturę niewieścią do izby gmin. Kandydatką jest panna Mary R. Macarthur, którą popierają wszystkie męskie związki zawodowe.

P. Macarthur jest sekretarką związku zawodowego kobiet pracujących oraz związku stowarzyszeń kobiecych, urodziła się d 13 sierpnia 1880 r. studja odbywała w Glasgowie. Mąż jej p. William C. Andorson, jest członkiem izby gmin.

Wyższa szkoła gospodarstwa kobiecego wiejskiego.

Zjednoczone Koło ziemianek, uznając potrzebę wyższej uczelni gospodarczej dla kobiet, otwiera z dniem 1 września 1918 roku w Dobrej Woli pod Warszawą 1½ roczny kurs dla nauczycielek oraz instruktorek gospodarstwa wiejskiego, ze specjalnem uwzględnieniem działu hodowlanego.

Do szkoły przyjmowane będą uczennice, które ukończyły średni zakład naukowy, albo też złożą egzamin przed komisją egzaminacyjną. Podania i zapisy przyjmuje, oraz wszelkich informacji udziela biuro zjednoczonego Koła ziemianek, Świętokrzyska 13, od 12—3.

„Socjalizacja" kobiet w Saratowie.

Dzienniki petersburskie, jak „Petrogradzkoje Echo" i „Petrogradskaja Gazeta" przedrukowują z dziennika „Ufimskaja Żiźń" następujący dekret „sowietu" saratowskiego o „socjalizacji kobiety", rozlepiony na rogach ulic Saratowa:

1. Od 1 marca 1918 r. znosi się prawo własności osobistej do kobiet od 17-go do 32 roku życia.

2. Prawu temu nie podlegają żony, posiadające więcej niż pięcioro dzieci.

3. Wszystkie kobiety brzemienne uwalnia się na 4 miesiące od wszelkich obowiązków.

4. Nowonarodzone dzieci, po osiągnięciu miesiąca życia, oddawane są do zakładu ludowego, gdzie mają być wychowywane i kształcone pod dozorem ludu do 17 roku życia.

Jak zaznaczają dzienniki petersburskie, Rosja będzie zmuszona znieść i to szaleństwo.

Do Szan. prenumeratorów „Bluszczu".

Aby uniknąć zwłoki w otrzymywaniu numerów, prosimy o szybkie nadsyłanie prenumeraty na III kwartał.

Wszyscy prenumeratorzy „Nowej Reformy" i „Il. Kuryera Codziennego" zechcą w ciągu czerwca nadesłać prenumeratę do „Zastępstwa Bluszczu, Kraków, Retoryka 1".

We wszystkich sprawach, odnoszących się do nabywania książek, form, wzorów etc. dawni Prenumeratorzy przez „Kuryer Codzienny" zechcą się zwracać wprost do Redakcyi „Bluszczu", Warszawa, N.-Świat 41.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktorka i Wydawczyni: **Zofia Seidlerowa.**

Druk J. Świętoński i S-ka, Warszawa, Kopernika 34.

Za pozwoleniem cenzury niemieckiej.



№ 1. **Skromny kostyum spacerowy.** (Szkic 1). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

NASZA POGAWĘDKA.

Z upalnym podmuchem czerwcowych dni, z gorącą pieszczotą słońca, ileż to dawniej spływało radosnych projektów, ile wesołych planów, którym dane było stać się promienną rzeczywistością — ileż zajmujących tematów dostarczały pogawędkom o modzie i o wszystkiem, co się z nią wiąże—te słoneczne promienie, czasem zbyt dokuczliwie przygrzewające—i cała ta wiecznie nowa, a zawsze jednakowo czarująca pieśń rozkwitającego życia.

Już w kwietniu, w maju w tym „wunderschönen Monat Mai" — projekty na lato stawały się zupełnie konkretne, zdecydowane. Letniska, wieś, rodzinny szmat ziemi — i to co, niestety, bardziej pociągało — zagranica — magiczne słowo, które tak łatwo nas porywało w dal, zwłaszcza... przy normalnej komunikacji i... normalnym stanie kieszeni, — góry, morze, przeróżne miejscowości kąpielowe — wszystko to stanowiło bogaty materyał, w którym łatwo było wybrać to, co najwięcej do serca przypadło i do materyalnych marunków dało się przystosować.

Nad tem wszystkiem roztaczała opiekuńcze skrzydła wszechwładna wówczas — moda. Słuchano jej rad z pokorą, często może bezkrytycznie, dając się unieść jej porywom, nie zawsze może bezpiecznym, ale... takim miłym. Czasem moda bez względu na to, że cały świat stał otworem upodobała sobie jakąś miejscowość i tam też na letnie wywczasy zjeżdżali się wszyscy, hołdujący przepisom możnej władczyni, póki im ten tłok nie obrzydł — czasem znów wyróżniła jakąś charakterystyczną cechę tualety kobiecej i wszystkie niewiasty, naśladując się wzajem obnosiły dany typ swego stroju — aż do znudzenia.

A dziś — to wszystko „wyszło z mody". Jedzie się tam, gdzie można — bez względu na to, coby moda orzekła o danej miejscowości, aby tylko za możliwe (o jakże one są dziś niemożliwe!) pieniądze, z konieczności podreperowania zdrowia, a rzadko dla przyjemności samych wywczasów, nie myśląc o strojach, aby tylko było się w co odziać — a jeśli już z musu myśląc o nich, to z ciężkiem strapieniem.

Bo też jest to dziś jedna z bardzo bolesnych kwestyi. Ceny materyałów są obecnie dla ogółu niedostępne — kupować je może tylko bogata i wzbogacona na wojnie sfera, a szary tłum ma przed sobą bardzo smutną perspektywę. Bo gdy wyczerpią się wreszcie wszystkie zapasy, dawne gałganki, z których można było jeszcze coś „skombinować", a na te przeróżne kombinacje moda łaskawie pozwala, dostarczając licznych wzorów, odpowiednich do przeróbek — to z czegóż będzie się zestawiać i sztukować?

Począwszy od bucika, a skończywszy na kapeluszu, wszystko dziś ratuje się przeróżnymi pomysłami, które dają wykorzystać każdy drobiazg. Suknie są przeważnie z dwóch lub trzech materyałów, fantazyjnie, dowolnie zestawianych. Jest to również używane przy modnych sukniach z podwójną spódnicą, z których każda sporządzona jest z odrębnego materyału, które jednak wymagają, aby tego materyału było dużo. Spodnia spódnica raczej wązka niż szeroka, dość krótka, pokryta jest nie w całej długości drugą spódnicą drapowaną, fałdowaną, marszczoną, tak lub inaczej wyciętą w zęby, końce w rodzaju tuniki, która łączy się ze stanikiem, tworząc wtedy luźną bluzę, lub wykończona jest *à part* bluzki. Wogóle najbardziej modnym typem sukien są suknie w formie płaszcza i bluzy, które na ulicy robią często wrażenie...



Szk. 4. Szk. 3. Szk. 3a. Szk. 2. Szk. 1.



№ 2. **Suknia w formie płaszcza modnym krojem, przybrana haftem.** (Szkic 2). For. na zam. w adm. Bluszczu.

№ 3. **Kostyum z długim żakietem, przybrany ozdobnym ściegiem.** (Szkic 3 i 3a). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

№ 4. **Bluzka oryginalnie przybrana i spódnica do kostyumu.** (Szkic 4). Forma na zamów. w admin. Bluszczu.

szlafroka, luźne, prostolinijne, zaledwie ujęte paskiem lub przewiązane szarfą. Szarfy są bardzo lubiane. Widzi się często bluzki i staniki ze skrzyżowanemi przodami, wydłużonemi w szarfę i fantazyjnie przewiązanemi.

Możnaby rzec, że ogólną cechą mody jest obecnie pewna niedbałość, wypływająca może ze swobody przepisów, jakaś leniwa miękkość w zarysach, — te modne linje, dążące jakby do wygody, do pewnej, że się tak wyrażę — ospałości, pozbawione są tężyzny, zwartości i wyrazu i przebija się w nich to jakieś nieokreślone *laisser aller*... wyziera z za nich ta pochyłość, za którą czai się degeneracya...

A może to zwierciadło, w którem odbijają się psychiczne nastroje...

Marianne.

Wzory Ubiorów i Robót do № 24 i 25.

№ 1. Skromny kostyum z granatowego szewiotu, gładkim, prostym krojem przybrany jest szeregiem wązkich naszywek z jedwabnej, czarnej materyi, otoczonych stebnówką. Naszycia te przytrzymują w dole złożone ku sobie fałdy spódniczki i zdobią żakiet, wykończony wyłożonym kołnierzem.



Szk. 8. Szk. 5.

№ 2. Suknię z ciemnoniebieskiej jedwabnej gabardiny ożywia haft, wykonany nitką w tymże kolorze oraz złotą, wyszyty na materyi w kolorze wiśniowym, tworzącej wstawioną część przodu, oraz na odpowiednich mankietach. Wązki, przewiązany pasek zakończony jest chwastami. Dolna część sukni, tworząca spódnicę, składa się jakby z dwóch części — spodniej, luźnej, lekko w stanie zmarszczonej i wierzchniej w formie nałożonych boków z odrębnego, wiśniowego materyału. Kołnierz z tejże materyi dopełnia całości.

Potrzeba: $3^3/_4$ metra gabardyny 130 cent. szer., 80 cent. mat. wiśniowej 110 cent. szer.



№ 5. **Sukienka z dwóch materyałów dla młodej panienki.** (Szkic 5). For. na zam. w adm. Bluszczu.



№ 9. **Sukienka z dwóch materyałów dla młodej panienki.** Forma na zam. w adm. Bl.

№ 3. Ozdobny ścieg zdobi kostyum z żakietem oryginalnym krojem. Wyszyty jest on na dużym kołnierzu, który można nosić wyłożony lub podpięty, na pasku, naciętych przodzie i tyle w rodzaju baskinki, oraz oryginalnie rozchylonych i odłożonych bokach. Z tyłu żakiet złożony w fałdę, pozornie przytrzymaną paskiem. Spódnica nowym krojem złożona jest po bokach w dwie małe kontrafałdy, które przytrzymuje mały karczek z przodu i skrzyżowany, od tyłu idący pasek. (Patrz ryc. 4).

Potrzeba: $3^3/_4$ metra mat. 140 cent. szer., $3^3/_4$ metra podszewki 50 cent. szer.

№ 4. Bluzkę z różow., jedwab. materyi przybierają plisy z materyi niebieskiej, wyszyte kordonkiem w ozdobny deseń. Rękawy wszyte mereszką, przybrane na mankietach takiemiż plisami. Spódnica patrz opis do ryc. 3.

№ 5. Sukienkę z granat. woalu przybierają plisy z jedwabnej materyi. W dole spódnicy szeroka plisa — węższe plisy, idące od okrągłego wycięcia szyi przybierają stanik i opadają w długich końcach. Plisa przy wycięciu szyi i pasek przybrane haftem.

№ 6. Zręczny kostyum dla młodej osoby przybiera wyszycie z sutaszu, które wykończa duży wyłożony kołnierz, mankiety, pasek i duże kieszenie. Spódnica dość szeroka.

№ 7. Jedyne przybranie letniego kostyumu z piaskowej wełny stanowią guziki, zdobiące modny kołnierz, wysokie mankiety, odstające kieszenie i przód żakiecika. Guziki również przybierają dół spódnicy, ułożonej w fałdę. W stanie fantazyjnie nacięty pasek.

№ 8. Sukienka z lekkiej wełny w jasno-bronz. kolorze, sporządzona jest w formie bluzy i składa się z dwóch części: górnej, prostej, luźnej i dolnej, ułożonej w fałdy. Poniżej stanu sukienka ujęta paskiem ze wstążki. Wyszycie z sutaszu zdobi część przodu sukienki i chusteczkowy kołnierz.

№ 9. Sukienka z kreponu w rzucik sporządzona jest w połączeniu z innym materyałem, dobranym kolorem do deseniu. Z materyału gładkiego wykonana jest plisa u dołu spódniczki, pasek z odłożoną szarfką, karczek i pliski przy wysokich mankietach.

№ 10. Szlafrok z materyału w kropki, przybrany plisami z mat. gładkiego. W stanie ujęty paskiem, z przodu kieszonki.

№ 11. Matinka z materyału w deseń, z wyciętym karczkiem i halka z namarszczoną falbaną.

№ 12. Szlafrok (szkic 12) z materyału wzorzystego, przybrany jasnym, gładkim materyałem, z którego sporządzone są szalowy kołnierz, mankiety, pasek i oszycie kieszonek.

№ 13. Szlafrok (szkic 13) z lekkiej wełny, przybrany jest sutaszem, który wyszyty jest na wstawionej części przodu w przymarszczonym przednim brycie, oraz zdobi wycięcie szyi i mankiety. Kołnierz pokryty jedwabną mat.

№ 14. Matinkę oryginanym, a prostym krojem oraz haleczkę przybiera oszycie z walansjenki. W stanie matinka przewleczona aksamitką.

№ 15. Szlafrok (szkic 15) z jasnego woalu przybiera ręczny haft, zdobiący rodzaj karczka i mankiety krótkich rękawów.

№ 16. Szlafrok (szkic 16) z materyi w deseń z kołnierzem, mankietami i kieszonkami, wykończonemi falbanką, przybrany jest wstążką w dowolnym kolorze.

№ 17. Sukienka z welwetu w ciemno-ziel. kolorze, w formie płaszcza, luźnym krojem, zapięta jest z przodu, powyżej stanu ujęta wązkim paskiem i przybrana kołnierzem i mankietkami z białego jedw., rypsu lub z batystu.

№ 18—19. **Dzienna koszula i majteczki przybrane haftem Richelieu.** (Formy i wzory na zamów. w adm. Bluszczu).

№ 20. **Serweta zdobna haftem Richelieu.** (Motyw z róż). Wzór na zam. w adm. Bluszczu.

№ 21. **Poduszka do gabinetu, przybrana modnym, płaskim haftem.** (Wzór na zam. w adm. Bluszczu).



№ 6. **Kostyum przybrany sutaszem.** For. na zam. w adm. Bluszczu.

№ 7. **K**
guzikam
w a



№ 10—16. **Ranne ubrania.** Formy na zam



brany
zam.
zu.



№ 7. **Kostyum przybrany guzikami.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Kwestyonaryusz gospodarski.

Pani A. H. z Bełchatowa. Zasada suszenia wszelkich produktów, polega na możliwie szybkim odprowadzeniu czyli wyparowaniu wody w nich zawartej. Im szybciej się suszenie odbywa, tem więcej wzmaga się przemiana skrobi w cukier a suszony produkt będzie o tyle piękniejszy i smaczniejszy. Aby suszone owoce pozostały białe i smakiem nie różniły się od świeżych, należy przedewszystkiem uważać, aby temperatura pieca nie była za wysoka. Przy możliwie nizkiej ciepłocie owoce nie kurczą się zbytnio i nie tracą naturalnego koloru.

Jabłka i gruszki suszą się od 2—4 godzin, zależnie od gatunku, a termometr powinien wskazywać od 80—100° C.

Śliwki dłużej wysychają, od 15—20 godzin — ciepłota zaczynając od 60° C., podnosi się stopniowo do 80°. Chcąc otrzymać owoc piękniejszy i połyskujący, nie można go bez przerwy do końca trzymać w suszarce, lecz po upływie pewnego czasu, np. od 1—3 godzin, wystawić go na kilka godzin na chłodne powietrze, przez co owoc dużo swej wilgoci wyparuje i prędzej potem w piecu dosycha. Śliwki francuskie dlatego właśnie odznaczają się swym pięknym wyglądem, że są suszone na przemian w piecu i na słońcu i powietrzu.

Wiśnie i czereśnie suszą się bez ogonków, najczęściej z pestkami. Jeżeli chodzi o piękne okazy, to można pestki wyjąć, co najlepiej czynić wtedy, gdy już trochę przeschną w suszarce. Pestka za naciśnięciem palca łatwo wychodzi, a owoc soku nie utraca.

Borówki, czereśnie oraz wszelkie *jagody* suszy się bardzo łatwym sposobem. Należy je przebrać i oczyścić z liści i różnych nieczystości, potem rozłożyć jedną warstwą na sitach lub blachach i suszyć, najpierw na słońcu, a gdy przewiędną, dopiero w suszarce, w średniej temperaturze. Dobra suszarnia powinna posiadać następujące warunki: Przedewszystkiem powinna mało opału spalać, a dużo suszyć, powinna też dawać możność suszenia w czystym, ogrzanym i ciągle odświeżanem powietrzu, którego prąd łatwo można regulować. Po wyczerpujące wiadomości, nietylko dotyczące suszów, lecz wszelkich przetworów z owoców, odsyłam Szan. Panią do mej świeżo wydanej broszurki: *„Przetwory owocowe bez cukru"*, która zapewne w każdej księgarni się znajduje.



№ 8. **Sukienka w formie bluzy, przybrana sutaszem.** (Szkic 8). Forma na zam. w adm. Bluszczu.

Świteziance. *„Co zrobić z ziemniaków i kwaśnej kapusty bez mąki"?* Różne potrawy z ziemniaków i kapusty, jak wszelkie zupy: kartoflanka przecierana, kapuśniak, bigos, kapusta z grzybami i t. p. bardzo są smaczne z zaprawą z kartofli surowych, w zastępstwie mąki. Należy utrzeć na tarce kilka surowych kartofli, wodę od nich zlać, masę utartą wlać do zupy lub innej potrawy z kapusty i razem zagotować. Surowe kartofle dają klej i zawiesistość, to też dadzą się doskonale zastosować w braku mąki. Z ziemniaków, bez mąki można też przyrządzać: kotlety, opiekanki, krokiety, zrazy, budynie i knedle. Wszystkie te potrawy można przyrządzać z kartofli gotowanych, utartych, zupełnie bez mąki; należy tylko masę ziemniaczaną doskonale wyrobić rękoma, dodać zieleninki, t. j. koperku i pietruszki ziel., cebulki, grzybków usiekanych, pomidorów i t. p. przypraw, stosownie do zapotrzebowania i do woli konsumenta. Poczem formować różne, pierwej obmyślane fasony, obtaczać w bułce bez jajka (co się praktykuje w oszczędnej kuchni) i smażyć koniecznie na gorącej patelni z małą ilością masła. Gotowane kartofle używają się też zamiast bułki do wyrobów siekanych z mięsa, jak np. do kotletów, befsztyków, klopsów i t. p., nadając tymże potrawom pulchność i dobry smak — wszakże nie można ich brać za dużo, najwyżej 2—3 na funt mięsa.

Pani J. W. z Pabjanic. Za serdeczne wyrazy uznania również serdeczne „Bóg zapłać" przesyłam. Przepis Szan. Pani, dotyczący „herbaty z marchwi", okazał się doskonałym. Marchew pokrajana w paseczki i ususzona w piecyku na ładny, rumiany kolor, zastępuje wybornie herbatę — ma smak i kolor zupełnie dobry, a połączona z obierzynami suszonemi z jabłek, może zadowolnić najwybredniejszy smak. Napój to hygieniczny i korzystny ze względów odżywczych.



Szk. 17. Szk. 9.

Młodej mężatce z Brackiej. Przepis na tanie i praktyczne mydło znalazłam w jednem z pism zagranicznych (był już podany w „Bluszczu") i mam zamiar sama go wypróbować. Otóż należy kasztany dojrzałe obrać ze skórki brunatnej, pokrajać w cienkie plasterki, które ususzyć na słońcu lub w piecyku, uważając by się nie zrumieniły. Zupełnie suche płatki utłuc na proszek i używać jako „proszek mydlany" do gotowania i prania bielizny. Sądzę, że pomysł ten okaże się praktycznym.

M. Norkowska.



. Formy na zam. w adm. Bluszczu.

ODPOWIEDZI Z DZIEDZINY LECZNICZEJ KOSMETYKI.

Prenumeratorce „Bluszczu" K. G. Łupież swędzący, który Sz. Panią trapi, może znów wywołać wypadanie włosów. Niech Pani myje głowę raz na tydzień mydłem dziegciowem, które jeśli Pani kupi w kawałku należy rozpuścić w wodzie i dobrze w skórę wcierać przy myciu. Gdyby Sz. Pani mogła dostać i siarkowe mydło we Włocławku, pomięszać te dwa mydła, rozgotowane w wodzie, dobrze rozpuszczone i wcierając w skórę robić rodzaj masażu, aby cały łupież zeszedł ze skóry głowy. Mam wyborny środek przeciw łupieżowi „Trychogen" D-ra Birona, może się pani uda go sprowadzić. Można też nacierać głowę spirytusem Salicylowym, również dobrze dezynfekuje skórę. Łupież taki bywa bardzo zaraźliwy.

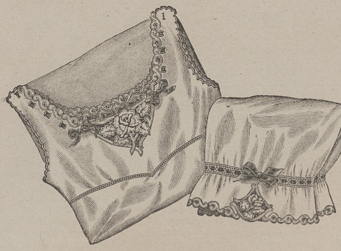
Nauczycielce z Tarnowicy-Leśnej. Zapewne kto ma lat 24 nie powinien mieć powiek obwisłych, oczywiście wynika to trochę z Sz. Pani zawodu, ogólne zmęczenie, praca intelektualna, czytanie nie raz po nocach wszystko to może wpłynąć ujemnie na sprężystość i elastyczność powiek. Niech Sz. pani zawsze na noc i rano, a często w dzień, przemywa oczy, kładąc na powieki płatki z waty hygroskopijnej, umoczonej w wodzie gorącej, wywoła to przypływ krwi do skóry i tem samem odżywi zwiędłe tkanki. Nic stosować tu nie można, za delikatna bowiem tkanka, ale może Pani robić jeszcze gimnastykę oczu podług Millera, a wzmocni sobie Pani mięśnie i obwiśnięcie da się może w ten sposób usunąć. Za granicą bardzo tę gimnastykę gałek ocznych stosują.

Co się zaś tyczy twarzy na takie opierzchnięcie skóry i liszaje spirytus ogórkowy źle działa, gdyż skórę wysusza, a takiej skórze należy nadać wilgoć, którą utraciła.

Leczę z bardzo dobrym skutkiem takie skóry: nie myć wcale wodą, tylko „Mleczkiem białem lanolinowem", na noc stosować maść Salicylową,



№ 17. **Sukienka w formie płaszcza dla młodej panienki.** Forma na zam. w adm. Bluszczu.



№ 18—19. **Dzienna koszula i majteczki, przybrane haftem Richelieu.**
Formy i wzory na zamówienie w adm. Bluszczu.

przez czas pewien, następnie masować skórę, gdy już pryszcze zginą znakomitym kremem Voskpâte. Skóra będzie gładka i czysta, tylko trzeba to czas pewien stosować. Może Sz. pani znajdzie okazyę i środki powyższe będzie mogła sprowadzić. Małżeństwo wcale nie wpływa na takie pryszczyki podskórne, przeciwnie mam w kuracyi wiele mężatek z taką skórą opierzchniętą.

Świteziance (p. J. K.) Zapytuje Sz. pani o lekarstwo na piegi. Domowego środka nie ma żadnego, są tylko maści, a i te działają paljatywnie, to znaczy, że po pewnym czasie piegi znów się wracają, jednakże lepiej smarować, aby się więcej nie robiło. Maść na piegi może Pani dostać u mnie, jest bardzo dobra.

Na zimne ręce nie ma lekarstwa powierzchownego, jest to wadliwe krążenie krwi, na nie zatem działać należy, a więc masaż rąk od końca palców ku górze przez 15 minut, gimnastyka i zanurzanie rąk w wodzie gorącej i zimnej na przemian. Najlepiej robi galwanizacya rąk, czyli stosowanie pewnego prądu elektrycznego, po mniej więcej dziesięciu galwanizacyach temperatura kończyn znacznie się normuje.

D-rowa J. Sadowska.

ODPOWIEDZI.

Prenumeratorce z prowincji. Żądane wzory odłożyliśmy dla Sz. Pani, możemy je wysłać w opasce poleconej, ale skoro Sz. Pani wybiera się do Warszawy niezadługo, to może Sz. Pani zechce odebrać je osobiście. Płaszcz nieprzemakalny dostanie Sz. Pani w znanym magazynie W. Janiszewskiego i S-ka, Marszałkowska 145. Tamże radzimy Sz. Pani nabyć bluzki — napewno znajdą się takie, o jakie Sz. Pani chodzi.

P. El. W. z Galicyi. Z radością witamy naszą dawną prenumeratorkę, która wraca do „swego, kochanego Bluszczu“. Osoba, o którą Sz. Pani zapytuje przebywa od trzech lat w Rosyi. Najchętniej służymy zawsze radą — prosimy o zwracanie się do nas z zupełną ufnością, że o „nudzeniu“ nie może być mowy,—odpowiemy z całą gotowością. Kompletu za kwartał I-szy przesłać już nie możemy, jest zupełnie wyczerpany.

PRZEPISY KUCHENNE.

Pierogi ze szpinaku. Ciasto zwyczajne zarobić całem jajkiem, jak się zazwyczaj zagniata na zwykłe pierogi—z tą różnicą, iż należy je rozwałkować, możliwie najcieniej — dlatego, aby po przez ciasto pierogów przeglądała zielona barwa szpinaku.

Szpinak na ten cel przyrządzić w następujący sposób: obrać z korzonków i szypułek, wypłókać nader starannie w kilku wodach, poczem wrzucając go na wrzącą, nieco osoloną wodę, gotować. Kiedy się tylko zagotuje, natychmiast przecedzić i zaraz przelać kilka razy zimną wodą, ażeby szybko zupełnie ostygł — a przez to nie zżółkł — i gdy dostatecznie osiąknie z wody, usiekać go jaknajdrobniej, a potem rozetrzeć wałkiem w donicy na zupełną masę.

Następnie, umielony szpinak zaprawić zasmażką, zrobioną z łyżki masła i pół łyżki mąki, odrobina cukru, osolić i zagotować — a po zagotowaniu dodać 2 do 3 żółtek, z któremi rozmięszać dobrze, ale już nie gotować, a w końcu wystudzić zupełnie.

Na rozwałkowane cieniutko ciasto — nakładać, jak zwykle, po trosze zimnego szpinaku i wyrzynać kieliszkiem, bowiem powinny być pierożki maleńkie.

Następnie gotować je w obfitej osolonej wodzie, dopóki nie wypłyną, a po ugotowaniu położyć je szybko na okrągłym, płaskim półmisku i polać młodem masłem przesmażonem z bułeczką; podawać na stół spiesznie — nieodzownie gorące.

Szczaw na jarzynę. Młody szczaw obrać starannie z korzonków i szypułek, wypłókać czysto, zmieniając kilka razy wodę, poczem usiekać go na masę, a następnie włożyć w zasmażone (ale nie zrumienione) masło i dusić w niem pod pokrywką.

Kiedy szczaw jest już dostatecznie miękki—wówczas wziąść kwaterkę świeżej kwaśnej śmietany oraz łyżkę mąki i rozbiwszy dokładnie, (ażeby nie było zacierek), zaprawić tem szczaw, potem wsypać soli i cukru do smaku i zagotować.

Na wydaniu, w gorący, gotujący się szczaw wbić 2 do 3 żółtek—wymieszać należycie, ale już z niemi dłużej nie gotować, ponieważ zwarzyłyby się — i wyłożyć na półmisek lub salaterkę — (co wyjaśnię poniżej).

Sposób II: Młode listki szczawiu obrane dokładnie z korzonków i szypułek oraz wypłókane czysto, ugotować w obfitej wodzie ze solą — a po ugotowaniu, należy natychmiast przelać go na sicie dużą ilością zimnej wody, ażeby nie zatracił swej naturalnej zielonej barwy.

Następnie usiekać go, jak można najdrobniej; a jeśli kto chce mieć szczaw doprowadzony do stanu zupełnej masy, to wówczas należy go utrzeć wałkiem w donicy.



№ 20. **Serweta zdobna haftem Richelieu.** (Motyw z róż).
Wzór na zam. w admin. Bluszczu.

Usiekany już szczaw, zaprawić kwaterką świeżej kwaśnej śmietany, zasmażką zrobioną z łyżki mąki i łyżki masła, wsypać nieco cukru do smaku i zagotować; poczem, na wydaniu, w gorący, gotujący się szczaw, wbić 2 do 3 żółtek — wymięszać dokładnie, ale już więcej z niemi nie gotować — i wyłożyć na salaterkę, a jeżeli ma być okładany wokoło, to podać na półmisku.

Jarzynę ze szczawiu podaje się zazwyczaj do kotletów cielęcych lub baranich albo też do sztuki mięsa.

A można szczaw na półmisku obłożyć wokoło ozorem wieprzowym lub wołowym, solonym i owędzonym, a w końcu ugotowanym i pokrajanym na gorąco (lub też tylko solonym), a także wszelkiem wędzonem lub solonem mięsem, ugotowanem i gorącem; można także obłożyć i cały po wierzchu ubrać jajami w koszulkach albo ugotowanemi na twardo i pokrajanemi na połówki i ćwiartki — lecz szczaw zwykle najstosowniejszą jest jarzyną do mięsa.

Uwaga: Stosownie do gustu, jeżeli dla niektórych osób szczaw jest zakwaśnym, ażeby go złagodzić, można dodać nieco liści z lebiody, lub szpinaku albo sałaty, lub z młodych buraczków albo też ze zbywającej od sadzenia rozsady kapuścianej — obranych ze wszelkich twardych części, jak szypułki, ogonki i t. p., lecz najlepszy na ten cel jest szpinak — a wogóle dodatek ten powinien być użyty w bardzo umiarkowanej ilości, ażeby szczaw nie zatracił swego właściwego smaku.

Szpinak w omlecie. Szpinak obrać starannie z korzonków i szypułek, wypłókać należycie w dużej ilości wody — poczem odcedzić i włożyć w gotującą się osoloną nieco wodę w obszernym rondlu, ażeby szpinak gotował się w wielkiej obfitości wody.

Gotować krótko, a gdy się tylko zagotuje, odcedzić szybko i natychmiast spiesznie przelać kilka razy przez sito obficie bardzo zimną wodą, ażeby zupełnie i prędko ostygł—a tym sposobem zatrzyma swój naturalny zielony kolor.

Następnie, kiedy już dostatecznie szpinak z wody obsiąknie, usiekać go jaknajdrobniej lub też przepuścić przez maszynkę, a potem utrzeć wałkiem w donicy na zupełną masę.

Poczem wziąść sporo masła, zagotować z łyżką mąki i włożyć weń umielony szpinak — a następnie rozprowadzić go mleczkiem lub słodką śmietanką (poprzednio przegotowaną), doprowadzając do pożądanej gęstości, potem osolić oraz wsypać odrobinę cukru podług smaku.

Chcąc mieć szpinak smaczniejszy, można na wydaniu wlać weń trochę śmietanki rozbitej z kilkoma żółtkami; szpinak musi być gorący — dobrze, więc z nim należy żółtka rozmięszać, ale nie trzeba już z niemi gotować, bowiem zwarzyłyby się.

Mając gotowy zrobiony szpinak, trzymać go „au bain-Marie“ t. j. wstawiony z rondelkiem w drugi duży rondel, napełniony gorącą wodą i zacząć robić omlet w następujący sposób:

Na dwie osoby wziąść 4 większe lub 5 małych jajek — rozbić je dobrze z solą.

Na patelnię włożyć łyżeczkę (lub pół łyżki) świeżego masła, rozgrzać je mocno, poczem wlać na to rozbite jaja i postawić na małym ogniu na blaszce, ażeby się omlet od spodu podpiekł dobrze—następnie wsunąć pod blachę do piecyka na wyższą kondygnacyę — i tam, gdy podrośnie i obeschnie, wówczas spiesznie nałożyć na omlet przygotowany już poprzednio gorący szpinak, zawinąć szerokim nożem z dwóch stron, formując omlet w kształt podłużny i zaraz, szybko podawać na stół — bo, gdy ostygnie traci niezmiernie dużo na smaku.

H. Ch.

DROBIAZGI.

Tłuszcz z nasion akacyi. Nasiona akacyi zawierają pewną ilość tłuszczu, nadającego się do celów spożywczych. Nasiona pozbawione tłuszczu można z powodu obfitej zawartości białka używać na paszę, a nawet i dla żywienia ludzi. Wojenny Urząd olejów i tłuszczów w Niemczech postanowił wyzyskać nasiona akacyi i wzywa do zbierania i dostarczania ich. Urzędy odbiorcze płacą 70 fen. na 1 kg. czystych i suchych nasion.

Ubrania z tkanin papierowych. Centrala bawełniana Tow. akc. w Wiedniu nadesłała Izbie handlowej i przemysłowej wzory gotowej odzieży z tkaniu papierowych.

Ceny tych ubiorów są w stosunku do ubrań bawełnianych dosyć niskie.

Ubranie robotnicze, składające się z bluzy, kamizelki i spodni, wypada K. 52.20 loko fabryka. Ubranie marynarkowe (marynarka, kamizelka i spodnie) kosztuje K. 57.75. Ubranie dla dziecka wypada na K. 28.90. Materyał jest impregnowany i robi wrażenie trwałego, nie znosi jednak prania w gorącej wodzie. Dla konsumentów fabrycznych, zakładów miejskich, instytucyi dobroczynnych i t. p. mogą dla pewnych celów te wyroby papierowe okazać się korzystnemi. Wzory do przeglądania w Izbie handl. i przemysł. w Krakowie.



№ 21. **Poduszka do gabinetu, przybrana modnym, płaskim haftem.**
Wzór na zamówienie w adm. Bluszczu.